

Koło żyje i ma się całkiem dobrze

Słowem wstępu

Od początku roku w naszym Kole trochę się działo. W styczniu tradycyjna już Fasolka w Zaolziance i Kolęda Kołowa a w lutym powrócił Przewodnicki Bal Karnawałowy. Wraz z nadejściem wiosny przyszedł czas na spotkanie studenckich przewodników z całej Polski, czyli coroczny Kwadratlon. Oczywiście, jak co roku w marcu ruszył również nowy kurs przewodnicki. W kwietniu odbył się Nocnik, czyli nocna impreza na orientację, oraz POLUŚ współorganizowany przez SKPG Harnasie i SKPB Katowice. Maj to szczególnie impreza coroczna - Rajd Nocny. Kto nie miał szansy uczestniczyć w tych wydarzeniach, może teraz się dowiedzieć co go ominęło i w przyszłym roku dołączyć do uczestników imprez organizowanych przez studenckich przewodników beskidzkich z Katowic.

Już teraz serdecznie zapraszamy na Jesienne Bacowanie na Jasieniu w Beskidzie Wyspowym, które odbędzie się w dniach 21-23 października. Szczegóły dotyczące Bacowania pojawiają się na naszej stronie www.skpb.org po wakacjach.

Fasolka 2011

Kolejne Beskidzkie Slajdowisko Fasolka 2011 przeszła do historii. Podczas piątkowych i sobotnich pokazów w schronisku Zaolziańska zjawilo się ponad 150 osób. Podobnie jak w roku poprzednim graliśmy wraz z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy, a ściśle mówiąc z VII Karpackim Finałem tej imprezy. Podczas sobotniego wieczoru z licytacji zdjęć, sklepiku orkiestrowego oraz wolnych datków zebraliśmy 4000,30 zł na potrzebujące dzieci. Gościem specjalnym Fasolki 2011 była Pani Cecylia Kukuczka, która pokazała archiwalne zdjęcia męża oraz wzruszający film o Jurku Kukuczce.

Marek Bytom

Karnawałowy Bal Przewodnicki

Dnia 26 lutego 2011 w PTSM-ie w Rycerze Kolonii odbył się karnawałowy bal przewodnicki. Sala balowa zgromadziła podczas sobotniego wieczoru 43 prawdziwych dresiarzy. Wśród uczestników najliczniej zgromadził się oddział kreszu, o czym świadczył momentami zagłuszający muzykę szelest. Drugą najliczniejszą podgrupą taneczną byli reprezentanci tzw. tradycyjnego dresiarstwa podblokowego. Stroje kobiece również odznaczały się niezwykłą finezją. Na balu pomimo tematu przewodnickiego nie odnotowano żadnych zamieszek.

Polanka

Gazetka Studenckiego Koła Przewodników
Beskidzkich w Katowicach

Redakcja: Barbara Szweda, Anna Szweda,
Joanna Karlikowska, Maciej Michalak, Adam
Matyszkow, Aleksandra Zmeły.

Współpraca: Remigiusz Bonk, Agnieszka
i Michał Dzik, Bartosz Piekarski, Łukasz Boldys,
Marek Bytom, Michał Skrzypek, Basia Ziemek.

Red. nac.: Ola Rachwał

Korekta: Marek Karweta

Skład: Mateusz Brzeszcz

Okładka: Mateusz Brzeszcz (Przełęcz Legionów)

Spokój został jedynie na krótko zakłócony przez dwóch kołowych uczniów, chcących sprowadzić dresowych uczestników na "dobrą drogę". Protest nie spotkał się z jakimkolwiek odzewem poparcia.

Poza możliwością zrealizowania się tanecznie na parkiecie, spróbowania różnych słodkości, bal karnawałowy był również okazją do premierowego zakupu nowych koszulek z kolekcji SKPB 2011.

Mamy nadzieję, że bal karnawałowy powróci do tradycji corocznych imprez kołowych.

Basia Szweda

Kolęda Kołowa

Kolęda odbyła się w tym roku w dwa weekendy: 22-23, oraz 29-30 stycznia. Kolejny raz mieliśmy okazję przeżyć kolędę kołową. Jak zwykle była ona okazją do spotkania się wielu pokoleń przewodników oraz kursantów. Mogliśmy powspominać dawne czasy, jak również planować bliską przyszłość. Śpiew i rozmowy trwały nieraz do późnych godzin nocnych. Dziękujemy za tak szczególnie spędzony czas wszystkim tym, którzy przyjęli kolędę oraz oczywiście wszystkim kolednikom. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku spotkamy się znów, w tym lub jeszcze większym gronie.

Agnieszka Kalisz - Dzik

Kwadratlon

W weekend 25-27 marca w Gorczańskiej Chacie odbył się Kwadratlon międzykołowy połączony z rozpoczęciem sezonu. Na miejscu przywitani nas organizatorzy, czyli przewodnicy SKPG Kraków. Zmagania kwadratlonowe rozpoczęły się w sobotę po południu. 40 uczestników podzielono na 4 drużyny. W każdej drużynie spotkali się przewodnicy z różnych zakątków Polski.

Na początek ruszyły zabawy sprawnościowe takie jak strzał z łuku, piłowanie drewna, rzut do celu czy łowienie rybek w stawie. Na koniec IN0, które zmobilizowało uczestników do wielkiej gonitwy po okolicy w poszukiwaniu kolejnych punktów. Gdy już wszyscy wrócili z trasy, mieli okazję odsapnąć przy pysznym bigosie, a zaraz potem walczyć w intelektualnej części kwadratlonu.

Na start: konkurs wiedzy o innych kołach przewodnickich, później kalambury i na koniec hit!, czyli góry i miasta z lotu ptaka (zdecydowanie powinno wprowadzić się na kursach przewodnickich oblotówkę po terenie uprawnień :]). Po wszystkich konkursach wyłonił się zwycięzca, czyli zespół "Oj tam oj tam". Warto tu jeszcze

wspomnieć nazwy pozostałych zespołów: "Krupnioki", "Zymły" i "Kulawe Mole". Zaraz po zakończeniu zmagania intelektualnych, zaczęły się obrady Rady Przewodnictwa Studenckiego. Rozmowy dotyczyły m.in. nowego rozporządzenia czy współpracy międzykołowej.

Na koniec część najdłuższa (choć brutalnie skrócona o godzinę przez zmianę czasu), czyli oczywiście rozmowy i śpiewanki do rana. Podsumowując: sezon rozpoczęty w sposób wyśmienity. Dziękujemy serdecznie SKPG Kraków za przygotowanie imprezy, a następnym Kwadratlon już za rok, tym razem u Harnasi. SKPB Katowice reprezentowali dzielnie! Agnieszka Kalisz- Dzik, Michał Dzik, Bartek Piekarski, Szweda Barbara, Szweda Anna, Marek Karweta i Bogusław Szczepanowski.

Basia Szweda

NOCNIK

Kolejna edycja NOCnej Imprezy Kołowej przeszła do historii. Wieczorem 2 kwietnia na starcie stało się 29 osób, które w odstępach dziesięciminutowych wyruszyły na trasę biegnącą z Kalet do Nowej Wsi Tworoskiej. Organizatorzy przygotowali 20 punktów kontrolnych do zdobycia. Trzy mapy w różnych skalach (1:50000, 1:25000, 1:10000) sprawiły odrobinę trudności; głównie "pięćdziesiątka".

Tradycyjnie jak na nocnik przystało, trasa miała ponad 20km i zabrała uczestnikom nie mniej niż 7 godzin. Pierwsze pary uczestników zaczęły się schodzić około czwartej nad ranem. Dzięki dofinansowaniu z Gminy Tworóg uczestnicy dostali czekolady na starcie, zaś na mecie czekał pyszny bigos oraz inne dobrości.

Michał Skrzypek

Rajd Nocny

W dniach 6-7 maja odbył się kolejny Rajd Nocny organizowany tym razem przez kursantów kursu mięsnego 2010/2011. Tegoroczny Rajd różnił się bardzo od wszystkich poprzednich, ponieważ tematem przewodnim byli Indianie i wszystko co z nimi związane. Na początek wybór jednej z czterech proponowanych, dość ciekawie brzmiących tras: Tańczący z babami, Wojownicy Prerii, Kamienne Squaw, Dziewczyny Szamana. Cechą wspólną wszystkich tras było zadanie do wykonania podczas rajdu i zaprezentowanie na mecie. Każda grupa stanowiła plemię, którego



historię miała wymyślić, używając do tego 6 słów (na jednej z tras były to: tipi, koń, pióro, krokiet, krzyżówka, zamach). Dodatkowo każdy dostał swoje niepowtarzalne indiańskie imię. Jeśli chodzi o kreatywność, to z pewnością nie można jej odmówić organizatorom.

Turyści, a właściwie Indianie, dzielnie wędrowali do sobotniego wieczora, kiedy to dotarli na metę rajdu, którą była Hala Górowa. Nie wszystkie blade twarze miały jednak tyle szczęścia. Graszący w okolicznych lasach Indianie porwali kilkoro najmniej walecznych turystów. Wszyscy pozostali, którzy szczęśliwie dotarli do bacówki, mieli okazję spróbowania fasolki po indiańsku. Klimat indiański był dostrzegany wszędzie, kursanci przebrani od stóp do głów w kolorowe stroje, w centralnym miejscu postawiono tipi, a wszechobecne dekoracje czyhały nawet tam gdzie wiadomo kto chodzi piechotą.

Niebawem zaczęła się część artystyczna wieczoru. Historie plemienne wymyślane na trasach, pomogły uwolnić pojmanych. Konkursów moc, to między innymi: kalambusy, próba siły w piłowaniu drzewa czy pokaz mody indiańskiej. We wszystkich konkursach rywalizowały między sobą poszczególne plemiona. Najlepszym okazało się: plemię Dziewczyny Szamana, za co zebrało znaczne nagrody rzeczowe. Kolejna część wieczoru, czyli granie i śpiewanie trwały do późnych godzin nocnych, lub właściwie już porannych.



Ekstacyczne więzi z duchami dodają uroku

Następnego dnia wszyscy indiańscy turyści pomknęli do tipi w swoich miastach, zabierając ze sobą mnóstwo wrażeń i dobrych wspomnień. I dostali jeszcze jedną rzecz, z której pewnie skorzystają: zaproszenie na Jesienne Bacowanie na Jasieniu w Beskidzie Wyspowym, które odbędzie się już w październiku. Prawdopodobnie atrakcji będzie jeszcze więcej, gdyż przygotowania zaczęły się już w następnym dniu, po Rajdzie Nocnym. A samą imprezę przygotowują znów Ci sami kursanci kursu mięsnego 2010/2011.

Dodatkowo wspomnieć trzeba, że taniec deszczu nie był odtąnczony, gdyż pogoda była jak na zamówienie.

Basia Szweda



My być plemię odważne i silne, my sprawić że świat drżę!

GPPR

Co bieglejsi (i nie chodzi o prędkość chodzenia) w górach widzą zapewne pewną zbieżność "GPPR" z "GOPR". Otóż "GPPR" wzięło się właśnie po szkoleniu goprowskim, a skrót ów oznacza Górskie Przymusowe Pogotowie Ratunkowe.

Czemuż to przymusowe? Ponieważ, Panie i Panowie, ratowanie to straszna lipa i unikajcie tego, nie tylko jako ratujący, ale i ratowani.

Zaczął się od tego, że w piątek rano pojechaliśmy do Korbielowa. Ponieważ pojechaliśmy jako pierwsi spadł na nas średnio przyjemny obowiązek napalenia w piecu i takich tam. Już w samochodzie stwierdziliśmy, że nie chce nam się w marną pogodę ciągnąć przez Malorkę i Uszczawne, bo to byłaby sztuka dla sztuki a widoków brak. Wyciągnęliśmy się zatem na Halę Górową i zrobiliśmy swoje, po czym... Rzuciliśmy się spać o godzinie 16:00, na trzy godzinki. Około 19:30 zaczęli się schodzić uczestnicy szkolenia, a sam PT Pan Goprowiec przepelzał o 20:57 (przy wstępnym planie, że zaczynamy o 21:00). Plan zrealizowaliśmy bardzo dobrze, zaczęliśmy się szkolić teoretycznie o 23:00, dwie godziny szybko zleciały i dostaliśmy zadanie specjalne: podzielić się na 5 grup, zrobić improwizowaną deskę ortopedyczną ze wszystkiego, co trafiło na lewe lotnisko na Górowej, tak żeby przenieść osobę z urazem ręki, nogi i kręgosłupa na prawe lotnisko. Przepis: trzy plecaki, wdiabły metrów folii do pakowania (tzw. strech), dwie-trzy karimaty, 20m (?) liny, koc, trzy kijki trekkingowe.

Błagam Was, nie każcie mi tego improwizować gdziekolwiek, ale wierzcie mi: da się zrobić z takiego "sprzętu" stabilną dechę ortopedyczną,

dzięki której w awaryjnej sytuacji można przenieść kogoś, no... Z noszami to powiedzmy, że pewnie i kilka kilometrów. Przyjemność dla noszących i noszonego wątpliwa, choć w tej drugiej sytuacji mogą sobie to tylko wyobrażać.

Najzabawniejszym elementem tego wieczoru było stwierdzenie Oli R., którą "pakowała" moja grupa. Po zapakowaniu jej w takim stopniu, że rozpakowanie wymagało więcej roboty niż zakończenie pakowania stwierdziła, że musi do łazienki. Było to oczywiście obiektem żartów i podśmiewań przez resztę szkolenia.

Po części oficjalnej, oczywiście, nastąpiła część nieoficjalna, a po niej (ponieważ zapowiedziano wcześniejsze śniadanie o 8:30...) szybka kima o 4:00.

Sobota zaczęła się od okrzyku: "pobudka!!!", na który śpiący obok mnie Szymon odpowiedział pod nosem wulgaryzmem i przewrócił się na drugi bok, jednak wszyscy, prędzej czy później, się podnieśli. Zaraz po śniadaniu, o godzinie 11:00, wyszliśmy. Szybki spacer na Buczynkę i tam dostaliśmy kolejne ciekawe zadanie: mieliśmy się dobrać w pary i przeprowadzić się nawzajem po lesie. Niby nic trudnego, ale jedna osoba miała dowodzić głosowo, a druga iść. Iść polegając tylko na komendach osoby dowodzącej, ponieważ ta pierwsza miała oczy zakryte. Jaja były niesamowite, ale generalnie się udało i wszyscy mieli oczy (ba! Każdy miał swoje!). Następnie na górze Hali Jodłowcowej wybrani zostali dwaj pozoranci, a reszta ekipy miała uczynić deskę, nosze i iść. Po doświadczeniach dnia wczorajszego wiedzieliśmy jak zrobić dechę i to poszło od ręki, z noszami był większy problem. Stworzyliśmy je z... Sześciu gałęzi, a Asia (dobrze pamiętam?), na której je testowaliśmy miała śmierć w oczach w czasie testów, jednak wszyscy żyją i mają się dobrze (skaza na psy-

chcę pewnie została jej do dzisiaj). Kolejną atrakcją było przeciągnięcie denata... Ekhm... Przepraszam. Poszkodowanego na skałki przy zielonym szlaku na Halę Miziową. Proponuję rzucić okiem na mapę Beskidu Żywieckiego i znaleźć tam Buczynkę, a na Buczynie Halę Jodłownicą. Widzicie? Stamtąd do skałek szliśmy jakieś półtorej godziny, przedzierając się między innymi przez młodnik i mały wąwóz, czy jak tam nazwać jarek, w którym leniwie płynął potok.

Następnym punktem była chwila zabawy na skałkach, między innymi: jak z dwóch 10-metrowych kawałków liny zrobić uprząż i spuścić się na niej kilka metrów, a dalej tylko przyjemność: kolejny denat... Ekhm. Ofiara. Poszkodowany. Trafił w nosze i dostaliśmy zadanie ultraspecjalne: spuścić się z noszami kawał w dół, zrobić trawers pod skałkami, znów się spuścić i potem wyciągnąć nosze na szlak. Zabawa, przynajmniej, była przednia, Agata (którą ciągnęła

moja grupa) większość przespała, a przez cały czas miała zakryte oczy. Może to i dobrze, bo do tej pory nie wie, gdzie ją nieśliśmy.

Do bacówki wróciliśmy na chwilę, zjedliśmy pulpę hawajską (ryż, dużo mięsa, ananas, kukurydza, sos pomidorowy) trochę pogadaliśmy i dalej do boju: tym razem stanęliśmy w sytuacji, że osoba po prostu zaginęła, ale nie wiemy gdzie dokładnie, jedynie mniej-więcej ze wskazaniem na mniej. W okolicy wspomniany wyżej skałek, po około półgodzinnym poszukiwaniu, trafiliśmy w końcu na leżące denatki... Ekhm, pozorantki, świetne aktorki (Anię i Jolę) symulujące uszkodzenia kończyn górnych, wychłodzenie i generalny szok. Chociaż na początku byliśmy skłonni uznać, że jest im coś więcej (upadek z wysokości, etc.), a Artur był mocno niezadowolony, że nie budujemy noszy. Też żeby tak łatwo nie było, powtórzyliśmy wcześniejszą rzeźniczą trasę, z dwiema dziewczynami, które co chwilę

porozowały stratę przytomności, ataki paniki i generalnie wszystko, co tylko się dało. Zamiast, planowanych przez Pana Goprowca, godziny-półtorej wyszła nam suma tych: 2,5h (ponownie odsyłam do mapy: z bacówki na Górowej do skałek i powrót), następnie pogadaliśmy trochę i chwilę po trzeciej rzuciłem się spać, a impreza się działa, działa, działa...

Marek Karweta

Kurs Naukowy po godzinach

To była słoneczna sobota. W powietrzu unosiła się delikatna bryza. Nagle zza zakrętu wyłoniła się czerwona bestia, prowadzona na manowce przez Zwierza. Manowce te, w narzeczcu żagłobiońskim, nazwano Pogoria III. Nasza bestia przeskoczyła wszystkie przeszkody, dzielnie skradała się przez leśne ścieżyny, by w końcu dotrzeć do Yacht Clubu. Tam nasza odważna załoga przeskoczyła na trójżaglowca typu Trener. Po spuszczeniu cumy, o mało co nie zatopiłszy jednostki, jednak dzięki sprawnym zwrotom nabraliśmy wiatru w żagle i ruszyliśmy na pełne wody Morza Dąbrowskiego. Załoga została wstępnie zapoznana z wyposażeniem okrętowym, co umożliwiło uniknięcia śmierci. Po wypłynięciu na środek akwenu (maksymalna głębokość 22 m) zostaliśmy uraczeni przez kursantkę Paulinę panoramką. Zobaczyliśmy wzgórze Gołonoskie, o zawrotnej wysokości ok. 360 m n.p.m., wzgórze zbudowane z wapieni i doloomitów triasowych, u szczytu widniał kościół z XVII wieku. Można było również dostrzec osiedle Łęknice, a także gotycki kościół na ul. Św. Jadwigi. Kiedy podpłynęliśmy do plaży, naszym oczom ukazał się widok budowanego właśnie molo. Gdy, o dziwo, szczęśliwie dotarliśmy do brzegu, udaliśmy się na zamek w Będzinie. Zobaczyliśmy tam wapienne skałki przed zamkiem, i wtedy obudziła się w nas górska dusza. To był dobry czas na mały buldering! Ludzi dziwili się naszym poczynaniom i robili wielkie oczy. Gdy zakończyliśmy „rwanie kłam”, weszliśmy na taras widokowy na szczycie wieży zamkowej, skąd strzeliliśmy panoramę na Beskid Żagłobioński z jego kulminacją, Górą Św. Doroty. Potem zrobiliśmy miastówkę, poszukiwaliśmy resztek dawnych miejskich obwarowań. Po drodze doświadczyliśmy ciekawych zwyczajów ludności miejscowej – istnieje tam zwyczaj rzucania nogami od stołu dla uczczenia przybyłych obcokrajowców. Kolejnym celem był Kifibaumstadt (spuścimy na to zasłonę milczenia). Ostatecznie znaleźliśmy się w Muzeum Śląskim, gdzie obejrzelśmy wspaniałą wystawę pt. „Życie codzienne na Górnym Śląsku w latach 1918-1939”. W pełni wykorzystaliśmy dobrodziejstwa, jakie zaoferowała nam Noc Muzeów. Podsumowując, był to wyjazd NA PEŁNYM KURSIE!

*Sporządzono dnia 18 maja 2011 roku
pod Tadz Mahal.*

Komu w drogę... czyli Kurs Naukowy w Beskidzie Niskim

Celem naszego trzeciego wyjazdu, który odbył się w dniach 29 kwietnia – 3 maja był Beskid Niski, dla większości z nas nieznan. Przez kilka dni poruszaliśmy się po opustoszałych terenach dawnej Lemkowszczyzny, spotykając nielicznych ludzi po drodze, odwiedzaliśmy cerkwie i cmentarze wojenne, które odkrywał przed nami Baker (a jego fascynacja nimi nie pozwoliła nam nazywać ich inaczej niż cmentarzami bakerowskimi), poznaliśmy lepiej siebie nawzajem i nasze możliwości pod przesympatycznym i wspierającym przewodnictwem Bakera, Agnieszki, Zwierza i Marcina. Nasza liczba się zmieniała, najwięcej było nas 19 (razem z Harnasiami), w przedostatnim dniu zostało nas 7.

Po zimnej nocy, w sobotę rano przywitało nas słońce. Jednak nim zdążyliśmy dotrzeć na Laskową, złapał nas deszcz, schroniliśmy się więc pod drzewami, gdzie wysłuchaliśmy opowieści Martyny o Konfederacji Barskiej i Kasi o Kazimierzu Pułaskim. W tym czasie zbliżała się burza, w końcu zawisła nad nami, oślepił nas błysk, rozległ się grzmot i... śmiech – tak przy pomocy przyrody uczuliśmy pamięć Pułaskiego. W kolejnych dniach pogoda nas nie rozpieszczała, na przemian było słonecznie i deszczowo a wieczorami zimno. Kulminacją było przekraczanie niedzielnej nocą w bród Zawoi i Wisłoki – zmęczeni, mokrzy, brudni, ale zawzięci przeszliśmy jednak sprawnie ten odcinek, dzielący nas od bazy, zdejmując buty, mokre skarpetki, podwijając nogawki spodni, znowu zakładając mokre skarpetki i buty, i tak kilkakrotnie.

Począwszy od niedzieli, kolejne dni upływały nam pod hasłem cmentarzy bakerowskich. Po walkach na froncie I wojny światowej w Beskidzie Niskim, w 1915 r. rząd austriacki podjął gigantyczną akcję budowy ok. 400 cmentarzy wojskowych. W okręgu I Żmigród, po którym się poruszaliśmy, ich głównym budulcem było

drewno, materiał nietrwały, wymagający pielęgnacji. A tej zabrakło, kiedy po wysiedleniach Łemków w ramach Akcji „Wisła” w 1947 r., bezleśne wzgórza zaczęły zarastać lasem w wyniku tak naturalnej przecież sukcesji. Na szczęście, cmentarze jak te na Rotundzie czy w Krempnej doczekały innego losu i, stopniowo odnawiane, znów przypominają o poległych i przemawiają słowami z wyrytych na kamieniach inskrypcji. Natomiast po dawnych mieszkańcach Lemkowszczyzny pozostały jedynie wsie, takie jak Nieznajowa i Radocyna, które przemierzaliśmy, z trudem wyobrażając sobie, że przed wysiedleniem tętniły życiem. Przypominały o nich jedynie zdziczałe sady, studnie, piwnice, krzyże przydrożne i kapliczki, pozostałości cerkwi i szkoły oraz cmentarze. Mieliśmy szczęście i w tematykę prawosławia, cerkwi i ikonostasu wprowadził nas w ciekawy sposób pop w Wysowej. Potem była cerkiew w Zdyni i kolejne – w Wołowcu i Krempnej.

Oprócz nielicznych wędrowców, na szlaku spotykaliśmy mieszkańców tej ziemi – salamandry płamiste, traszkę, padalca i ptaki, na odgłosy których, w tym „kałaszników” czy zwykle ćwierkanie zwracała naszą uwagę Kasia. Sobotnią nocą przemknęliśmy przy wózce wilków przez Kozie Żebro, które, jak nakreślił nam Mariusz, swą nazwę zawdzięcza rozbójnikom, lubującym się w kozich (czyli sarnich) żeberkach.

Pokonywanie długich tras w ciągu jednego dnia, docieranie do baz w nocy, deszczowa i chłodna pogoda nadwyrężyły siły niektórych z nas. W takich momentach energii dodawały nam krówki, czekolada, wspólne posiłki i żarty. Wieczory nie obyły się zaś bez śpiewów i dźwięków gitary. Ten krótki wyjazd odkrył przed nami Beskid Niski, do którego na pewno będziemy wracać.

Basia Ziemer

Indie, Nepal: Dhaulagiri

Cichą październikową nocą przemykaliśmy przez uśpione Katowice. W głowie kłębiło się tysiąc myśli. Wyjeżdżaliśmy na miesiąc, na wymarzony wyjazd do Indii i Nepalu. Wydawało się, że to strasznie długi czas. Jak wiele wyobrażeń, również to okazało się nieprawdziwe. Wyjeżdżaliśmy w nieznane, naszym głównym celem był trekking dookoła Dhaulagiri, który większość osób odradzała nam przechodzić bez przewodnika i tragarzy. I pomimo że Dziki to nie osły, to uparliśmy się, że jednak pojedziemy sami.

Po komfortowej podróży Indie przywitały nas zapachem rozlanej landrynki. Z powodu rozpoczynających się właśnie Commonwealth Games musieliśmy udać się do Nepalu drogą lądową, bo wszystkie samoloty były zarezerwowane na najbliższe dwa tygodnie. Dzięki temu przeszliśmy przez najbardziej osobliwą granicę, którą znamy. Po dojechaniu o 4 w nocy do granicznej wioski, aby dostać wymaganą pieczętkę, musieliśmy obudzić śpiącego w samej białiznie na stole przed domem urzędnika (przykrytego dywanem). Osoby wybierające tę drogę powinny mieć ze sobą długopis, ponieważ jest to towar luksusowy w tamtejszej administracji:)

W tym momencie Nepal wydał nam się rajem. Podróż minęła w miarę sprawnie i już po 30 godzinach od wyjazdu z Delhi byliśmy w Pokharze. Tam oczywiście wszyscy chcieli nas przekonać, że nie da rady przejść naszej trasy bez przewodnika, przy okazji proponując takie ceny, że nawet gdybyśmy nie byli zdecydowani iść sami, to to by nas ostatecznie przekonało. W końcu w państwowej agencji bez problemu dostaliśmy pozwolenia i pojechaliśmy do Beni, skąd zaczynała się nasza trasa.



Pierwsze trzy dni szliśmy przez wioski. Mieliśmy okazję poznać trochę miejscowych ludzi i przypatrzeć się ich życiu. Oczywiście byliśmy dla nich tak samo ważnym wydarzeniem, ponieważ rzadko przechodzą tamtędy turyści. Drugiego dnia spotkaliśmy grupę Niemców z ich tragarzami, z którymi często później spoty-

kaliśmy się w miejscach noclegów. Szliśmy ciągle w górę doliny Myadgi Khola. Po obu jej stronach piętrzyły się tarasowe pola ryżowe i porzucane, nawet w najbardziej niedostępnych miejscach, wioski. Droga wprawdzie nie była ciężka, ale dwudziestokilogramowe plecaki dawały o sobie znać. Postanowiliśmy wychodzić wcześniej, żeby uciec przed największym upałem. Trzeciego dnia minęliśmy ostatnią wioskę i od tej pory spaliśmy tylko w namiocie, w zwyczajowych dla trekkerów miejscach. Korzystaliśmy przy tym z przewodnika Janusza Kurczaba. Droga, często wykuta w skale, wiodła w górę i w dół po zboczach urwistej doliny. Powoli zmieniał się krajobraz, weszliśmy do dżungli. Na szczęście oprócz uządlenia przez czerwoną, dwucentymetrową osę nie spotkały nas żadne nieprzyjemności ze strony zwierząt. Według pogody mogliśmy regulować zegarek: bezchmurne wschody słońca, w południe upał, później pojawiały się chmury, a wieczorem deszcz. Przez to długo nie widzieliśmy celu naszej drogi, gdyż zazwyczaj najwyższe szczyty tonęły w chmurach. Szliśmy coraz wyżej, stopniowo było coraz mniej zieleni, a krajobraz przypominał tatrzańską jesień, tylko że z pożółkłymi bambusami. Siódmego dnia dotarliśmy do tzw. Bazy Włoskiej, nad nami górowała Dhaulagiri. Wielka, majestatyczna, z wiszącymi lodowcami, ciągle wyglądała jak wklejona z innego świata. Następnego dnia doszliśmy do bazy na





lodowcu, gdzie złapała nas prawdziwie brzydka pogoda. W porę rozbiliśmy namiot. W nocy słyszeliśmy schodzące ze wszystkich stron kamienne lawiny, mieliśmy wrażenie, że wali się cały świat. Rano ruszyliśmy dalej lodowcem, który nie przypominał lodowców alpejskich, ponieważ był cały przykryty warstwą kamieni. Dzięki temu przeszliśmy go nie używając raków. Po dojściu do Dhaulagiri Base Camp postanowiliśmy zrobić dzień przerwy. Po nocnym opadzie śniegu, cały dzień widzieliśmy olbrzymie lawiny schodzące ze stoków Dhaulagiri, również ze ściany tzw. Eigeru, który górował nad nami. W bazie nie było żadnych wspinaczy, z powodu trudnych warunków na górze. Kolejny dzień to zdobywanie najwyższej przełęczy – French Pass (5360m npm). W tym momencie z zazdrością patrzyliśmy na Niemców niosących tylko małe plecaczki. Jednak



radość ze zdobycia przełęczy i przepiękne widoki ułatwiały nam dalszą wędrówkę. Zeszliśmy do Ukrytej Doliny, przypominającej księżycowe krajobrazy. Noc spędziliśmy na wielkim plateau, właściwie zupełnie sami. Wtedy czuliśmy jakby cały świat był tylko nasz. Następnego dnia kolejna wysoka przełęcz (Dapa Col, 5200m npm) i długi, niekończący się trawers na wysokości 5000m, zakończony zejściem do Yak Kharki. Po raz pierwszy od dwóch tygodni mieliśmy zasięg. To niesamowita radość usłyszeć swoich bliskich. Tej nocy spaliśmy twarzą w twarz z Annapurną, a następnego dnia zeszliśmy do Marphy, skąd autobusami udaliśmy się do Pokhary.

Zostały nam jeszcze prawie dwa tygodnie czasu, który wykorzystaliśmy na zwiedzanie Nepalu i Indii, ale to już temat na zupełnie inną opowieść. Wystarczy tylko powiedzieć, że wciąż nam brakuje tamtych miejsc i na pewno do nich wrócimy.

Agnieszka i Michał Dzik

Wielkie serce kozicy.

Parkowy pickup wiezie nas przez pustą o tej porze drogę z Palenicy do Morskiego Oka. Zatrzymujemy się na zakręcie drogi, tuż przy okazałym drewnianym domu – Wancie. To będzie nasza baza przez następne 4 dni.

Na pewno każdy z nas nieraz zastanawiał się, jak możemy praktycznie pomóc w zachowaniu tego, co jest nieodłącznym elementem gór, mianowicie przyrody. Tatrzański Park Narodowy daje nam taką szansę, organizując już od kilku lat akcję Wolontariatu, obejmującą z roku na rok co raz więcej zadań. Jednym z nich, idealnym dla przyszłych przewodników, jest tzw. edukacja w terenie – prowadzenie prelekcji w kilku najbardziej urozmaiconych miejscach w naszych Tatrach. Głównym celem tej działalności jest uwrażliwienie przebywających w górach tłumów, które na co dzień nie mają za wiele wspólnego z górami. Co obce dla nas w Beskidach, w Tatrach jest codziennością...

Przez następne 3 dni o każdej pełnej godzinie

będziemy zapraszać zgromadzonych na plaży nad Morskim Okiem do wysłuchania krótkiej opowieści o największym tatrzańskim jeziorze, otaczających je turniach i wszystkim tym co rośnie, chodzi, pływa czy fruwa wokół obecnych tam ludzi.

Muszę przyznać, że na początku dosyć sceptycznie patrzyłem na rolę jaką przyszło nam pełnić. Nie byłem pewien, czy zdołamy zainteresować przybyłych, których uwagę absorbowwały monety wrzucane do jeziora, bogata oferta zakąsek i alkoholi w schronisku, czy imperatyw fotograficzny, zakorzeniony w głowie każdego 'turysty' wpatrującego się w ścianę Mięguszo-wieckich. Jak dobrze jest się czasem pomylić!

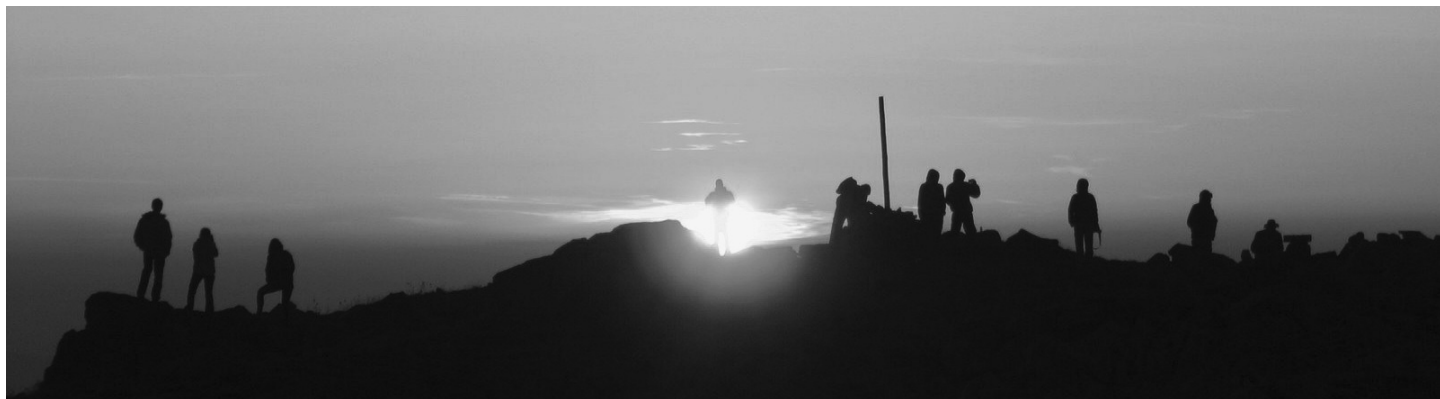
Z każdą godziną ilość zainteresowanych wzrastała. Związek Orzechówki z Limbą, naturalna obecność pstrągów w jeziorze, czy nazwa tej spiczastej góry na prawo od Cubryny były dla wielu z przybyłych prawdziwą sensacją. Im więcej osób

nas słuchało, tym częściej pojawiały się pytania. Dlaczego na terenie Parku nie ma koszy na śmieci? Co sprawia, że kozica tak sprawnie porusza się po najbardziej stromych ścianach? Jak bezpiecznie dotrę nad Czarny Staw w adidasach, a także dywagacje pewnych starszych pań, czy woda w Morskim Oku aby na pewno jest słona, uświadomiły mi jak cenne jest to nasze stanie nad brzegiem.

W ciągu całego majowego weekendu przez Morskie Oko przewinęło się kilkadziesiąt tysięcy osób. Wielu z nich w górach było po raz pierwszy, niektórzy pewnie po raz ostatni. Nam udało się dotrzeć jedynie do małej garstki z nich. Dlatego dla dobra naszych gór, nieważne Tatr, czy Beskidów, powinniśmy jak najmocniej angażować się w takie inicjatywy. Nie tylko zyskujemy niepowtarzalne doświadczenie pracy z najtrudniejszym dla przewodników gatunkiem klienta, ale ponadto odwdzięczamy się górcom, które każdemu z nas dały bardzo wiele. Zatem nie czekaj, tylko odwiedź <http://www.tpn.pl/pl/wspieraj/wolontariat> i sprawdź co Ty możesz dać od siebie!

Maciej Michalak

Z zachodu na Wschód, czyli babiogórski poranek!



Czerwcowe upały są w stanie zmobilizować ludzi do najbardziej spontanicznych decyzji, byle tylko odnaleźć kawałek cienia i poczuć chłodny wiatr na twarzy...

-Tylko proszę nie przybyć za późno, ponieważ o 20 zamykamy- taką informacją zakończyła rozmowę Pani prowadząca nowe schronisko na znanej wszystkim polanie Markowe Szczawiny – Jedynym schronisku na terenie Babiogórskiego Parku Narodowego.

Po odłożeniu telefonu czas na szybką decyzję: jedziemy? – Oczywiście, że tak! Iga z entuzjazmem zaczyna pakować plecak. Pół godziny później stoimy na przystanku na Nowym Kleparzu, w oczekiwaniu na autobus do Zawoi. Wsiadamy do leciwego Autosana i pełni radości zdążamy w stronę „Królowej Beskidów”, aby odkryć jej nieznaną nam do tej pory oblicze. Kierowca dzielnie przebrnął przez krakowskie korki i punktualnie o 19:30 wysadził nas na przystanku w Zawoi Policzne – na końcu najdłuższej wsi w Polsce. Baterie w czołówce są słabe- przypominam sobie, kiedy jedną nogą jesteśmy już na niebieskim szlaku. Szybki zwrot do lokalnego sklepu, w nadziei wymiany na jakiegokolwiek 3 małe, pełne baterie AAA. Na szczęście są!

Teraz już pełni zapału, wkraczamy na niebieski szlak, który prowadzi nas przez urokliwy bór dornoległowy. Jesteśmy wniebowzięci. Jeszcze 2 godziny temu w uszach dudnił ryk klaksonów, cały gwar miasta, a teraz tylko od czasu do czasu śpiewa skowronek, a w oddali dziecioł wyszukuje swojej kolacji. Po półgodzinnej przyjemnej wędrówce, dochodzimy do Polany Sulowa Cyrhla, gdzie wybieramy szlak czarny. Nadszedł czas na bardziej mozolny etap wieczornej wędrówki. Powoli podchodzimy szeroką jak chodnik na Błoniach ścieżką, która wyposażona została w krawężniki i wielkie drewniane barierki – można poczuć się jak w prawdziwym parku. O 21.00 pośród drzew dostrzegamy migoczące światełka i zarysy zabudowań. Dotarliśmy! Rozkładamy się na ławkach przed schroniskiem, które swoim kształtem i wyglądem nawiązuje do najlepszych tradycji polskich schronisk górskich. Wokół przed wejściem tłoczno i niebawale głośno. Czerwiec jest czasem, kiedy na szlaku możemy spotkać głównie albo długie dżdżownice złożone z małych traperów – uczniów podstawówek i gimnazjów albo przodowników górskich, którzy spotykają się na wspominki... Trafiliśmy na tych drugich, którzy

ze wspomaganiami różnych trunków dorównują poziomem decybeli i niewybrednych słów tym pierwszym. Maciek, pójdz załatw nocleg, proszę – kobieta każe, sługa musi. Nieśmiało wchodzi do ciemnej i pustej recepcji, w której uwagę zwracają – uwaga!- świeże lilie. Po chwili zjawia się młody chłopak, który wysłuchuje mojej prośby o kawałek podłogi i odchodzi. Po chwili zjawia się najwyższa instancja – szefowa schroniska. Spokojnie wyjaśnia, że owszem, możemy, w drodze wyjątku spać na podłodze, ale musimy zapłacić 20 zł od osoby, bez możliwości zniżki PTTK. Nie ma znaczenia, że jesteśmy studentami (wg Pani Gospodarz w dzisiejszych czasach nie ma biednych studentów), że chcieliśmy przeczeakać raptem 5 godzin.... Za moment zjawia się drugi gospodarz, który proponuje nam nocleg na dworze, jeśli cena dla nas jest za wysoka. Korzystamy z tej „życzliwej” gospodarskiej rady i instalujemy się z karimatami przed schroniskiem. Dzięki temu możemy podziwiać przepiękne niebo tej bezksiężycowej nocy. Mija północ, a plac przed schronem nie pustoszeje. Pojawiają się co raz to nowe grupy, które pochodzą od Zawoi, chcąc zrealizować jeden wspólny dla nas wszystkich cel – zobaczyć wschód Słońca na Babiogórskiej – jeden z najbardziej poruszających obrazów w polskich górach.

Kwadrans po drugiej nad ranem ruszamy na przełęcz Brona. Z każdym kolejnym krokiem ciemność ustępuje szarości. Po dwudziestu minutach docieramy na miejsce, które oddziela szczyt Babiogóry od jej mniejszego odpowiednika, zwanego Cylem. Teraz już tylko grzbietem, ponad światełkami ulic okolicznych dolin zmierzamy na jedyny w swoim rodzaju pokaz. Pogoda dopisuje. Jest ciepło, a co najważniejsze bezwietrznie, co na tej górze jest rzadkością. Szanse na rozległe panoramy są spore. Idziemy

równym tempem, mijając kolejne drewniane belki, wskazujące szlak zimą. W końcu jesteśmy tuż pod charakterystycznym Diablakiem. Na niebie już mienią się poranne gamy kolorów, a my w oczekiwaniu na wschód oddajemy się dokumentacji fotograficznej naszej wyprawy. Wokół coraz więcej turystów, zarówno z Polski jak i ze Słowacji. Niektórzy z nich, całą noc spędzili na szczycie. W pewnym momencie dostrzegamy jeszcze jednego turystę, który przybył tego ranka na Babię. To znany wszystkim stałym bywalcom BPN-u lis, który zadomowił się w okolicach szczytu i często odwiedza turystów w celach wybitnie gastronomicznych. W zamian chętnie zamienia się w cel wszystkich obiektów, robiąc furorę w towarzystwie. O 3:50 wszystkie oczy i aparaty kierują się w stronę pasma Policy. Zza gór, delikatnie, nieśmiało pojawia się mała, pomarańczowa kula, która z każdą chwilą rośnie, rozpoczynając swą dominację na niebie. Znika poranna szarość, którą zastępują jasne promienie słońca, oświetlające beskidzkie doliny. Wszyscy zgromadzeni na szczycie starają się uchwycić, każdy szczegół tych kilku chwil. Za moment kierujemy nasze spojrzenia na południe, w nadziei, że zobaczymy kolejny babiogórski obrazek- panoramę Tatr. Powoli opadają poranne mgły, podkreślając zarys bliżej położonych szczytów Tatr zachodnich. Jednak kolejne minuty zdają się potwierdzać moje przecucie, że na nic więcej nie możemy liczyć. Zatem nie ma co narzekać, tylko podziwiać to co widać, zając się pysznym śniadaniem. Dochodzi siódma. Czas nagli. Motywuję Igę, która doświadcza uroków, krótkiej drzemki, do zejścia. Niechętnie, ale z satysfakcją schodzimy Percią Akademików, na powrotny autobus do Krakowa- z takimi obrazami w głowie, w miejskiej dżungli będzie dużo przyjemniej!

Maciej Michalak



Wyrypa Beskidzka – czyli prawdziwe chodzenie zaczyna się po setce

Celem tej imprezy, która na stałe zagościła w Beskidach, jest przejście w miarę jak najszybszym czasie trasy, której długość wynosi sto kilometrów. Istotną sprawą jest to, że podczas jej pokonywania uczestnicy nie nocują oraz nie robią długich przerw. Średnio taką trasę przechodzi się w ciągu trzydziestu godzin.

Pierwszy taki maraton górski odbył się w pod patronatem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Katowicach jedenaście lat temu. Wówczas trasa rajdu prowadziła z Ustronia Głównym Szlakiem Beskidzkim na przełęcz Głuchaczki. Z dziesięciu startujących osób tylko czwórcie udało się dotrzeć do mety. Na kolejną odsłonę imprezy trzeba było czekać aż dziesięć lat. Trasa drugiej wyrypy prowadziła szlakami ze Zwardonia do Węgierskiej Górki. Na starcie zjawili się 64 uczestników (między in. z Gdyni, Nowego Sącza, Jeleniej Góry, Wrocławia, Skarżyska Kamiennej). Trasę ukończyli 29 osób.

W zeszłym roku trasa liczyła 112 kilometrów. Prowadziła z bazy namiotowej na Hali Górowej poprzez Romankę, Babią Górę, Jałowiec. I tym razem frekwencja dopisała i na stracie zjawili się sześćdziesiąt osób, z czego dwanaście dotarło do mety.

Piotr Baranowski, który ukończył dwie wyrypy o imprezie mówi tak:

„Wyrypa tylko na pierwszy rzut oka zdaje się być imprezą czysto sportową, odartą z klimatu górskich wędrówek. Choć skalą trudności technicznych przewyższa znacznie weekendowe deptanie beskidzkich szlaków, a i wysiłek włożony w przejście trasy nijak ma się do relaksacyjnych spacerów po lesie, nadal nie jest to wyścig, czy beznamiętna gonitwa przez góry. Idziemy ze znajomymi, przyjaciółmi, ludźmi, z którymi dzielimy pasję, pomagamy sobie w trudniejszych chwilach i razem cieszymy się z kolejnych pokonywanych etapów. Tak było i tym razem.

Na starcie mieszanka podekscytowania i strachu. Na mapie wykreślona z niespotykanym dotąd rozmachem trasa Wyrypy Beskidzkiej. Nikt się nie ludzi - łatwo nie będzie. Ilu uczestników tyle pomysłów na poradzenie sobie z wyzwaniem: solowo lub w grupie, szybkim marszem lub bez pośpiechu niczym w refleksyjnym kinie drogi. Byle do mety...

Po 48 godzinach ostatni spośród 12 ocalałych wdrapują się na halę Miziową pod Pilskiem. Kolejna, trzecia już, Wyrypa Beskidzka przechodzi do historii.



- Jak było? - pyta ktoś z siedzących przy ognisku.

- Piwa dajcie, piwa i spać.

Żadna z górskich imprez nie dostarcza tylu tematów do rozmów na cały kolejny rok. Nie sposób zapomnieć o dwóch ekstremalnych, wspólnie spędzonych dobach, czterdziestu ośmiu godzinach marszu, przygodach, odciskach, zwątpieniu i radości na widok mety.”

Marek Bytom

Najpiękniejsze magnolie kwitną w Cieszynie

Lato w pełni. Wielu z nas o wiosnie zdążyło już dawno zapomnieć. Tymczasem właśnie wiosną tuż obok nas ma miejsce niesamowity spektakl budzącej się do życia przyrody. Jej fantastycznym elementem są kwitnące kwiaty i drzewa, a wśród nich magnolie.

Szlak magnoliowy. Jak wielu z was słyszało o takim miejscu? A ilu spośród tych którzy słyszeli, miało już okazję odwiedzić Cieszyńskie magnolie właśnie wiosną? Zapewne nie jest to



bardzo liczna grupa, tym bardziej, że aby zobaczyć magnolie obsypane kwiatami w całej swej okazałości, trzeba odrobinę się natrudzić. Dlaczego? Otóż, magnolie są roślinami stosunkowo wymagającymi i wrażliwymi np. na warunki atmosferyczne. W tym roku kwiaty utrzymały się na drzewach niecałe 3 tygodnie, bo chłodna i deszczowa aura nie sprzyjała specjalnie naszym „kapryśnym arystokratkom” jak również są nazywane. Mimo to magnolie warte są wysiłku „zapolowania” na okres, w którym bezlistne jeszcze gałęzie dosłownie toną w powodzi dużych, pięknych kwiatów.

Zanim wybierzemy się do Cieszyna warto znać kilka istotnych szczegółów na temat naszych dzisiejszych „bohaterek”.

Magnolie występują głównie we wschodniej Azji (w tym przede wszystkim w Chinach, Japonii i Korei) oraz Ameryce Północnej i Środkowej. Tylko kilka gatunków pochodzi z Ameryki Południowej. Według różnych źródeł wyróżnia się od 80 do ponad 200 gatunków, przy czym żaden z nich nie występuje w Polsce w stanie naturalnym. Magnolie to przeważnie nieduże, osiągające zaledwie kilka - kilkanaście metrów wysokości drzewa liściaste (rzadziej krzewy). Wyjątkiem od tej reguły są mierzące aż od 20-u do 30-u metrów wysokości magnolie drzewiaste i wielkokwiatowe. Magnolie słynne są przede wszystkim za sprawą swoich kwiatów, które zakwitają jeszcze przed rozwojem liści, a ponieważ są tworzone wyjątkowo licznie, gęsto

obsypane nimi bezlistne drzewa wyglądają wręcz oszalałająco. Ich ozdobne walory cenił już na dworze cesarzy chińskich, szczególnie zaś w okresie dynastii Tang (618-906 r.), kiedy to ich sadzenie zastrzeżone było tylko dla ogrodów cesarskich i świątyni. Do Europy trafiły w 1790 roku, gdzie przez przyrodnika i profesora Karola Linneusza, na cześć francuskiego botanika Pierre’a Magnola, nazwane zostały magnoliami.

W Cieszynie pierwsze magnolie pojawiły się już ok. 1800 roku. Prawdopodobnie sprowadził je tam ks. Leopold Jan Szersznik, który na Frysztackim Przedmieściu, tuż przy starej strzelnicy miał swój ogród botaniczny. Miejsce to niestety już nie istnieje, jednak od tamtego momentu magnolie stały się coraz bardziej popularne a dla cieszyńskich bogatych mieszczan, którzy sadzili je w swoich podmiejskich ogrodach, zaczęły stanowić symbol prestiżu i statusu majątkowego. W zależności od odmiany, drzewa kwitną w różnych okresach roku. W Cieszynie spotkać możemy cztery odmiany tego krzewu, kwitnące głównie w kwietniu lub na przełomie kwietnia i maja. Usytuowane one są przy dziesięciu punktach szlaku o długości 1-go kilometra. Jego przejście zajmuje ok. 30 min. Oprócz drzew podziwiać można również znajdujące się w ich otoczeniu, ciekawe architektonicznie budynki (wille i kościoły) powstałe na przełomie trzech wieków począwszy od wieku XVIII.

Śladami Armii Czerwonej

Są tematy niewygodne, takie o których nie pisze się ze względów historycznych, lub po prostu dlatego, że nie wypada. Niewątpliwie do takich tematów należy zaliczyć wszelkiego rodzaju ślady i pozostałości po Armii Czerwonej na ziemiach polskich. Na próżno szukać jakichkolwiek wzmianek o nich w prasie turystycznej czy przewodnikach. Nawet w Internecie ciężko znaleźć cokolwiek na ich temat. A jest takich obiektów w kraju wcale niemało. W samym województwie śląskim zinwentaryzowano 96 obiektów związanych z Armią Czerwoną, 19 z nich znajduje się na terenach górskich. W tym artykule chciałbym krótko przybliżyć każdy z nich.

Cmentarze

Cmentarz Żołnierzy Radzieckich w Bielsku - Białej

Cmentarz położony jest przy ulicy Lwowskiej w bezpośrednim sąsiedztwie osiedla Na Kopcu Lipnickim. Zajmuje powierzchnię 19 300 metrów kwadratowych, co czyni go jednym z największych tego typu obiektów w Polsce.

Pierwotnie (wg. Różnych źródeł 1945 lub 1948r.) szczątki żołnierzy Armii Czerwonej zostały złożone bezpośrednio przed katedrą świętego Mikołaja pośród grobów mieszczańskich. Dopiero w 1968 roku podjęto decyzję o przeniesieniu cmentarza na obecne miejsce przy ulicy Lwowskiej.

Znajduje się tu teraz 21 mogił zbiorowych oraz 300 pojedynczych grobów, w których spoczywa 28 oficerów i 10 634 żołnierzy poległych w okresie od stycznia do maja 1945 roku podczas walk z hitlerowcami na Podbeskidziu i Górnym Śląsku. Zdecydowaną większość wśród pochowanych stanowią żołnierze anonimowi, głównie Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini. Tylko jeden nagrobek jest opisany – znajduje się na nim nazwisko Wasyl Wasyliewicz Isypow.

Mogiły są identyczne, oszczędnie w kształtach – stanowią je ustawione w rzędy kamienne bloki ozdobione pięcioramiennymi gwiazdami. W centralnym punkcie cmentarza wznosi się pochodzący z 1968 roku pomnik idącego do ataku żołnierza Armii Czerwonej. Sowiecki żołdat w bojowej pozycji skierowany jest w stronę centrum Bielska – ma to symbolizować zwycięski marsz Armii Czerwonej dającej wyzwolenie miastu. Projektantem rzeźby jest R. Sroczyński, natomiast wykonawcą dzieła Augustyn Dyrda – autor między innymi tyskiej Żyraby. Po obu stronach pomnika znajdują się dwa radzieckie działa typu ZiS-3 kalibru 76 mm.

Cmentarz niestety nie jest udostępniony do zwiedzania. Mimo to nie brakuje amatorów najbardziejzych trunków jak i cmentarnych pasjonatów, którzy by dostać się na teren miejsca pamięci są skłonni sforsować otaczające go ogrodzenie (albo i dwa – najdogodniejsza droga na cmentarz prowadzi bowiem przez otaczające go ogródki działkowe).

Cmentarz Żołnierzy Radzieckich w Żywcu

Cmentarz znajduje się przy ulicy Moszczanickiej, kilkaset metrów za starym żywieckim

cmentarzem. Jest to moim zdaniem najpiękniejszy z opisywanych tutaj obiektów. Niewielki, porośnięty niewysokimi drzewami. W centralnym punkcie pomnik zwieńczony złotą gwiazdą, zastawiony zniczami, czasem pojawiają się kwiaty. Na pomniku tablica z nazwiskami poległych. Wokoło 46 grobów zbiorowych. Każdy identyczny, dwie kamienne płyty, tabliczka z numerem oraz pięcioramienna gwiazda. Wszystkie ustawione symetrycznie w pięciu rzędach. Cały obiekt otoczony żeliwnym, ogrodzeniem, Wierchołki słupków zdobią czerwone, kute gwiazdy. Przy wejściu na cmentarz witają nas plan obiektu oraz dwie pamiątkowe tablice. Na pierwszej kamiennej widnieje sentencja:

“BOHATEROM ARMII CZERWONEJ MIASTO ŻYWIEC 1945”,

natomiast druga, metalowa, zdobiona gwiazdą i motywu roślinnym zawiera napis:

“NA CMENTARZU TYM W MOGIŁACH ZBIOROWYCH SPOCZYWAJĄ PROCHY 1119 ŻOŁNIERZY ARMII RADZIECKIEJ KTÓRZY ZGINĘLI WYZWALAJĄC ŻYWIECZCZYŃNĘ SPOD OKUPACJI HITLEROWSKIEJ W 1945 R WIECZNA CHWAŁA BOHATEROM SPOŁECZEŃSTWO ZIEMI ŻYWIECKIEJ 5 IV 1973 R”

Opisywany cmentarz powstał w 1951 roku na terenach należących dawniej do sadu dworskiego w Moszczanicy. Spoczywa tutaj 1120* żołnierzy poległych w 1945 roku w walkach o Żywiecczyznę. W czasie działań wojennych w 1945 na Żywiecczyźnie poległo 1555 żołnierzy radzieckich, których grzebano na linii frontu. Dopiero w roku 1948 dokonano ekshumacji zwłok. 1120 zwłok pochowano w Moszczanicy, resztę (595) w Suchej Beskidzkiej, gdzie również powstał podobny cmentarz.

Za czasów Rzeczypospolitej Ludowej opiekę nad cmentarzem sprawowała młodzież z Zespołu Szkół Agrotechnicznych i Ogólnokształcących im. Józefa Piłsudskiego w Żywcu Moszczanicy. Obecnie opieka nad obiektem zależna jest całkowicie od prywatnych inicjatyw.

**niektóre źródła podają liczbę 1119 pochowanych żołnierzy. W urzędzie miejskim miasta Żywiec dostępna jest ewidencja pochowanych.*

Pomniki

Bielsko-Biała

Socrealistyczny pomnik ku czci żołnierzy Armii Czerwonej został omówiony powyżej, przy opisie cmentarza radzieckiego.

Drugi bielski pomnik, skromny obelisk ku czci bohaterów Armii Czerwonej poległych w 1945 roku w walce o wyzwolenie Hałcnowa znajduje się na parafialnym cmentarzu w tejże dzielnicy. Na obelisku z białego kamienia widoczne płaskorzeźby przedstawiające pięcioramienną gwiazdę oraz otoczone kłosami zboża sierp z młotem.

Buczkowice

Obelisk znajduje się obok kina “Skalite” przy ulicy Wyzwolenia.

Upamiętnia poległych w kwietniu 1945 roku

żołnierzy 1 Armii Gwardii 4 Frontu Ukraińskiego. Został wzniesiony w 1965 roku, w XX rocznicę wyzwolenia Buczkowic spod okupacji hitlerowskiej. Niewysoki obelisk wykonany z czarnego marmuru zdobią gwiazda oraz sierp z młotem.

Chybie

Betonowy obelisk ku czci poległych w II wojnie światowej żołnierzy Armii Czerwonej znajduje się obok budynku urzędu gminy przy ulicy Bielska.

Na pomniku widoczne zatarte resztki napisów dziś trudne do odszyfrowania. Na początku lat dziewięćdziesiątych z pomnika zostały usunięte żelazne gwiazdy.

Cieszyn

Opisywany pomnik znajduje się na kwaterze wojennej cmentarza komunalnego przy ulicy Kościuszki w dzielnicy Bobrek. Spoczywają tutaj żołnierze Armii Czerwonej polegli w walkach o wyzwolenie Cieszyna wiosną 1945 roku oraz jeńcy radzieccy zamordowani przez hitlerowców w latach 1941 – 1945.

Jest to chyba najlepiej utrzymany z opisywanych obiektów. Chociaż niewielki – łatwy do odnalezienia na cmentarzu. Obelisk zdobi u góry pięcioramienna gwiazda, u dołu sierp z młotem. Pośrodku złoty, słabo widoczny napis głosi: *“BOHATERSKIEJ ARMII CZERWONEJ WYZWOLICIELCE Z JARZMA GERMAŃSKIEGO WDZIĘCZNA ZIEMIA CIESZYŃSKA”*. Po prawej stronie znajduje się tablica z nazwiskami poległych i datami śmierci.

Czechowice Dziedzice

Pomnik Braterstwa Broni znajduje się przy skrzyżowaniu ul. Niepodległości z ul. Słowackiego. Poświęcony jest czci żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego poległych w czasie II wojny światowej.

Pomnik powstał w 1953 roku staraniem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Czechowicach. Autorem pomnika jest znany socrealistyczny rzeźbiarz Stanisław Marcinów.

Granitowy cokół pomnika stanowi podporę dla stojących obok siebie żołnierzy Armii Czerwonej oraz Ludowego Wojska Polskiego. Wciąż na cokole można dostrzec ślady napisu: *“WSPÓLNIE PRZELANA KREW NA POLACH BITEW SCEMENTOWAŁA NA ZAWSZE POLSKO-RADZIECKIE BRATERSTWO BRONI”*. Obecnie pomnik niszczeje, betonowe postaci wyglądają jakby lada dzień miały się rozspać.

Pomnik ostatnimi laty budzi spore kontrowersje. Co rusz pojawiają się propozycje i żądania przeniesienia niszczonego obiektu. Z drugiej strony istnieje także całkiem aktywna grupa mieszkańców Czechowic broniących pomnika i domagających się od władz środków na jego renowację. Czy pomnik przetrwa? Czas pokaże.

Jasienica - Grodziec

Pomnik znajduje się w centrum wsi, nieopodal remizy strażackiej, Upamiętnia żołnierzy Armii Czerwonej poległych w 1945 roku w walce o wyzwolenie Grodzca.

Na kamiennym obelisku znajduje się tablica z napisami w języku polskim i rosyjskim: *“BOHATEROM ARMII CZERWONEJ WDZIĘCZNI MIESZKAŃCY GMINY GRODZIEC”* oraz

„ZGINĘLI ZA NASZĄ WOLNOŚĆ”. Piramidalne zwieńczenie pomnika zdobi relief przedstawiający skrzyżowany sierp z młotem.

Jaworze

Głaz z tablicą ku czci poległych żołnierzy radzieckich znajduje się w parku nieopodal skrzyżowania uli. Zdrojowej z ul. Pałacową.

Obelisk upamiętnia śmierć 184 czerwonoarmistów poległych w okresie od stycznia do marca 1945 r. na terenie Jaworza w czasie walk z wycofującymi się wojskami niemieckimi.

Na głazie znajduje się tablica z inskrypcją: „*WIECZNA CHWAŁA BOHATEROM - 184 ŻOŁNIERZOM ARMII RADZIECKIEJ POLEGLYM W 1945 R. W CZASIE WYZWALANIA JAWORZA SPOD OKUPACJI HITLEROWSKIEJ SPOŁECZEŃSTWO JAWORZA 7 LISTOPADA 1987 ROKU*”

Rajcza

Głaz z tablicą upamiętniającą radzieckiego partyzanta kapitana Waleriana Erykowicza Burzi ps. Jefremow znajduje się w Rycerce Górnej, przysiółku Słowiaki.

Z pomnikiem związana jest historia partyzanckiej grupy „Awangarda”. Działała ona w 1944 roku po upadku powstania słowackiego w rejonie Rycerki. Dowódcą był kpt. Jefremow. 7 kwietnia 1945 roku hitlerowcy w odwecie za akcje partyzanckie spacyfikowali osiedle Czanieccy u ujścia potoku Rycerki. Zginęło 10 mieszkańców wsi: Antoni Płoskonka, Wiktoria Płoskonka, Helena Płoskonka, Maria Płoskonka, Karol Szczotka, Julia Szczotka, Antoni Szczotka, Franciszek Słowiak, Karolina Biernat i Karolina Czaniecka, a także kapitan Jefremow. Spalono również 19 gospodarstw.

Tablica znajduje się na niewielkim głazie ozdobionym namalowaną czerwoną gwiazdą.

Skoczów

Zbiorowa mogiła żołnierzy polskich i radzieckich z okresu II wojny światowej znajduje się na nowym cmentarzu rzymskokatolickim przy ulicy Stalmacha. Na kamiennym obelisku umieszczonych zostało siedem tablic upamiętniających czterech Polaków oraz 94 żołnierzy Armii Czerwonej. Jedynie dwóch czerwonoarmistów wymienionych jest z nazwiska. Pomnik powstał w 1954 roku, został wykuty w bryle piaskowca pochodzącej z pobliskiej Brennej.

Strumień - Pruchna

Ponad dwumetrowy obelisk znajduje się przy skrzyżowaniu ulicy Katowickiej z ul. Główną.

Upamiętnia on żołnierzy Armii Czerwonej 4 Frontu Ukraińskiego poległych w walkach na terenie Pruchnej w 1945 roku. Postawiony został przez Rosjan latem 1945 roku. W ostatnich latach pomnik znalazł się w dziedzinie zainteresowań strumieńskich urzędników, prowadzona jest renowacja oraz prace konserwatorskie.

Szczyrk

Z mieszczącym się przy ulicy Beskidzkiej 99 (tuż za budynkiem poczty) pomnikiem wiąże się następująca historia:

Po oswojeniu Bielska, 12 lutego 1945 roku Armia Czerwona, posuwając się drogą w kierunku Szczyrku, wyzwała spod okupacji hitlerowskiej kolejne miejscowości. Front jednak zatrzymał się na granicy Mesznej i Buczkowic oraz linii Magury z Klimczokiem.

Zmasowany ostrzał umieszczonej w górach niemieckiej artylerii uniemożliwił przejście wojsk sowieckich do Buczkowic i Szczyrku. Zwrot nastąpił, gdy grupa szczyrkowskich komunistów przeprowadziła górskimi ścieżkami przez linię frontu oddział zwiadowców. Wkroczyli oni do Szczyrku 20 lutego. Wówczas hitlerowcy stacjonujący w Szczyrku wycofali się do Wisły i Brennej. Wyzwolenie Szczyrku nie trwało jednak długo.

Już 22 lutego z Wisły nadeszły przeważające siły niemieckie. Świątujący łatwe zwycięstwo zwiadowcy radzieccy zostali zaskoczeni i nie zdążyli już się wycofać. Upamiętnieni kamiennym obeliskiem żołnierze spłonęli żywcem w zajętej uprzednio kwaterze, pozostali zostali zastrzeleni na łące przylegającej do parkanu kościelnego.

Zwłoki poległych radzieckich żołnierzy pochowano na cmentarzu parafialnym.

Ustroń – Lipowiec

Pomnik ku czci żołnierzy Armii Czerwonej poległych w 1945 roku w Lipowcu. Stoi w miejscu, w którym radzieccy żołnierze zostali pochowani przez okolicznych mieszkańców w 1945 roku. W późniejszym czasie zwłoki zostały przeniesione na cmentarz w Bielsku - Białej. Tuż za pomnikiem znajduje się stary, opuszczony cmentarz katolicki. Pomnik składa się z 4 kolumn przedzielonych żeliwnymi kratami. W części centralnej czerwona gwiazda i napis: „*TU POCHOWANI BYLI ŻOŁNIERZE ARMII CZERWONEJ POLEGLI W WALKACH FRONTOWYCH 1945 ROKU*”

„*CZEŚĆ ICH PAMIĘCI*”

Wilamowice

Pomnik wraz z 8 zbiorowymi mogiłami żołnierzy Armii Czerwonej poległych w walkach o wyzwolenie Wilamowic w dniach 27 - 28 stycznia 1945 roku znajduje się w centralnej części cmentarza komunalnego. W zbiorowych grobach pochowanych jest 449 czerwonoarmistów.

Zebrzydowice

Pomnik znajduje się w centrum Markłowic Górnych, przy ulicy Szkolnej na terenie udostępnionym przez Franciszka Gabzdyla w miejscu, gdzie w latach powojennych położone były mogiły 7 żołnierzy radzieckich.

W czasie wyzwolenia Markłowic w dniach 1 – 3 maja 1945 roku z rejonu Granic do centrum wsi przywieziono w trzech rzutach 7 poległych czerwonoarmistów i pochowano w dwóch równoległych do siebie położonych grobach (w pierwszym trzech, w drugim czterech żołnierzy). Groby zachowały się aż do ekshumacji w 1957 roku. Po niej szczątki zostały przewiezione do Pszczyny. Na miejscu zlikwidowanych mogił, społeczeństwo Markłowic ufundowało w inicjatywę sekretarza POP PZPR Józefa Urbańczyka obecny pomnik.

Sam pomnik jest kamienny, wraz z betonowym cokół ma około 2 metrów wysokości. Z boku zostały wykute słowa „*POLEGLYM ZA WOLNOŚĆ CZEŚĆ ICH PAMIĘCI*”.

Żywiec

Pomnik Wdzięczności, Męczeństwa i Braterstwa Broni upamiętniający bitwy żołnierzy Wojska Polskiego i Armii Czerwonej w czasie II wojny światowej znajduje się na skwerze przy skrzyżowaniu ulicy Batorego z Aleją Wolności. W okresie PRL było to miejsce uroczystego celebrowania ważniejszych uroczystości państwowych oraz manifestacji patriotycznych.

Autorem i wykonawcą pomnika był pochodzący z Bielska – Białej artysta rzeźbiarz Antoni Biłka.

Pomnik wieńczą sylwetki żołnierza polskiego trzymającego w lewej ręce tarczę z orłem piastowskim oraz żołdaka radzieckiego dzierżącego śmiercionośną pepeszę. Na cokole widoczne nazwy ważniejszych pól bitewnych: Tarnów, Kutno, Narwik, Lenino oraz Oświęcim.

Obecnie pomnik chyba najbardziej znany jest z bocianiego gniazda uwitego ponad głowami dzielnych wojaków. Jak głosi powszechnie znana anegdota – pomnik uniknął wyburzenia po 1989 roku właśnie dzięki urzędniczej trosce o dobro bocianów.

Bartosz Piekarczyk

BIBLIOGRAFIA

Nad Solą i Koszarawą - nr 13 (140) - rok VII - 1 Lipca 2004
Wiadomości z nad Piotrowki - Styczeń 2004 – rok VI
Beskid Śląski – Mirosław Barański – Rewasz 2007
Materiały promocyjne gminy Cieszyn i Zebrzydowice
Wywiad środowiskowy :-)

„Sałasznicy” na Równem

Czy pamiętacie zapomniany i opuszczony w tej chwili PTSM w Wiśle-Równem? Początki tego miejsca to przełom XIX i XX wieku. W 1879 r. powstaje szkoła podstawowa w Wiśle-Czarnem. W pierwszym roku uczęszczało do niej 112 dzieci. Dzieci ciągle przybywało, pod koniec XIX wieku pracowano już na cztery zmiany, aby zapewnić wszystkim dzieciom możliwość nauki. W tej sytuacji, aby rozładować ciasnotę w szkole, powołano w 1905 r. jej ekspozyturę na Równym w prywatnym domu Raszków pod numerem 296. Jej pierwszym nauczycielem był Jan Szturc. Ponieważ prywatny dom nie był w stanie pomieścić coraz większej liczby dzieci, postanowiono zbudować nową szkołę. I tak oto w roku 1924 postawiono

całkiem nowy budynek, który stoi do dziś.

W 1931 roku do szkoły przybywa Jan Sztwiertnia, świeżo upieczony absolwent Studium Nauczycielskiego w Cieszynie. Uzdolniony muzycznie nauczyciel z uwagą obserwuje życie tutejszych górali. Z czasem zaczyna się tym coraz bardziej fascynować. Jego zamiłowaniem do muzyki przyciąga uwagę znanego bajora i działacza wiślańskiego Ferdynanda Dyrny, który przyjeżdża do Sztwiertni w 1932 roku i proponuje mu napisanie muzyki do libretta swojej opery „Sałasznicy”. W kilka miesięcy powstaje dzieło, które przedstawia życie górali Beskidu Śląskiego, z historią miłosną w tle. Stylistycznie opera nawiązuje do narodowych dzieł Moniuszki. Tekst napisany gwarą, melodie lu-

dowe wzięte bezpośrednio ze śpiewów okolicznych górali sprawiają, że opera jest dużo bardziej autentyczna niż trochę sztuczne dzieła Moniuszki. Jest prawdziwą dokumentacją życia na Beskidzkiej wsi. Słyszymy tu również instrumenty ludowe, a zwłaszcza długie trombity i dzwonki pasterskie. Pierwsze przedstawienie tej sztuki odbyło się w pensjonacie Marosza na „Pustkach” w Wiśle Malince razem z występem młodzieży malinczańskiej. Wystawiono ją jeszcze kilka razy, potem na długie lata zapomniano.

Sztwiertnia po dwóch latach nauczania w szkole na Równem przenosi się do Głębiec a potem do Wisły centrum, gdzie obejmuje również posadę organisty. Tutaj komponuje dalej – przede wszystkim pieśni, które oparte są w głównej mierze na muzyce ludowej. W 1935 roku wstępuje do Szkoły Muzycznej w Cieszynie, a po dwóch latach do Konserwatorium Muzycznego w Katowicach. Przed wybuchem II Wojny Światowej odbył się w auli konserwatorium koncert kompozycji Sztwiertni, za które otrzymał nagrodę w postaci stypendium na studia muzyczne w Paryżu. Niestety, w czerwcu 1940 Sztwiertnia zostaje aresztowany przez

Gestapo i umiera w obozie koncentracyjnym w Gusen. Jego prochy przywieziono do Wisły i złożono na cmentarzu „Na Groniczku”.

W dorobku Sztwiertni można znaleźć jeszcze jeden wielki utwór związany z Beskidami: poemat symfoniczny „Śpiący Rycerze w Czantorii”, który nadal czeka jednak na swoje prawykonywanie. Twórczość instrumentalna Sztwiertni została prawie całkowicie zapomniana, natomiast dość popularne są jego opracowania pieśni ludowych Śląska Cieszyńskiego, między innymi „Ej. Koło Cieszyna”, „Sikoreczka świergoli”, „Gronie, nasze gronie”, „Szumi dolina”. Do popularyzacji tych pieśni przyczynił się głównie Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. Zespół ten przygotował też w ubiegłym roku premierę widowiska operowego „Sałaszniczy” Jana Sztwiertni.

Dlaczego wspominam Jana Sztwiertnię? Otóż w tym roku przypada jego 100 rocznica urodzin. Przy tej okazji odbywa się wiele koncertów przypominających pieśni kompozytora, a także sesje naukowe, które przybliżają nam jego postać. Rękopisy dzieł Sztwiertni, które w większości znajdują się w archiwach Akademii Muzycznej w Katowicach, pokrywały się do tej

pory kurzem, teraz odkrywane są na nowo. Muzykolodzy zwracają uwagę na duży walor artystyczny jego dzieł. O Janie Sztwiertni przypominają też tablice pamiątkowe: na rynku w Ustroniu, rodzinnym mieście kompozytora, w centrum Wisły, na budynku byłej szkoły w Wiśle Równem i przed Aulą im. B. Szabelskiego w Akademii Muzycznej w Katowicach. Opera „Sałaszniczy” jest cały czas w repertuarze Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, jest ona co jakiś czas wystawiana i gorąco zachęcam do jej obejrzenia. Ostatnie wykonanie miało miejsce 5 czerwca 2011 roku w amfiteatrze w Wiśle, w trakcie obchodów rocznicy urodzin kompozytora.

Wróćmy jeszcze na chwilę do szkoły w Wiśle-Równem. Otóż szkoła działała do roku 1975, kiedy to pojęto decyzję o jej zamknięciu. Chwilę wcześniej, od 1971 roku, oddział katowicki PTSM urządził w niej schronisko młodzieżowe funkcjonujące początkowo jako obiekt sezonowy, a po zamknięciu szkoły całoroczny. Działo ono z małymi przerwami do roku 2007. Obecnie budynek stoi pusty. Może należałoby się nim ponownie zainteresować?

Remigiusz Bonk

Mówić można z każdym...

... rozmawiać bardzo mało z kim.

Wywiad z Agnieszką Kalisz, prezesem SKPB Katowice, szefową kursu 2009/10.

Jak zaczęła się twoja przygoda z górami?

To jest już bardzo długa przygoda, bo wędrować zaczęłam z moją mamą, która zabierała mnie ze sobą, od momentu gdy zaczęłam stawiać pierwsze kroki. W liceum miałam małą przerwę, okazyjnie w czasie wakacji jeździłam w góry, bo w środowisku niespecjalnie byli ludzie którzy chodzili. Wśród muzyków oczywiście zdarzają się zapaleńcy, ale my zazwyczaj razem graliśmy. Na studiach spotkałam innych ludzi, z którymi zaczęłam jeździć przede wszystkim w Tatry i moja dojrzała miłość do gór zaczęła się właśnie tam. I jeśli chodzi o przewodnictwo to początkowo myślałam o Tatrach, ale ciężko byłoby to pogodzić ze studiami i koncertami. Właściwie było to tak nierealne, że pomyślałam by może w takim razie zacząć od Beskidów - pójść na kurs i zobaczyć jak tam jest. Wiadomo, że jak już się przyjdzie na kurs, to nie ma opcji by nie zostać. Dopiero wtedy zaczęłam kochać Beskidy, choć moją wielką miłością wciąż są Tatry, to będąc w Himalajach brakowało mi właśnie Beskidów, tej trawy i tej zieloności, którą tutaj spotykam. Nie chodzi o to, że czegoś mi brakowało w Himalajach, bo były niesamowicie piękne. Ale jeśli za czymś tam tęskniłam to za błogością, która panuje w Beskidach. Także teraz właściwie już ciężko mi jest powiedzieć co kocham bardziej. Nie wyobrażam sobie życia bez gór, dlatego mam takiego męża, bo inaczej by się chyba nie dało.

Pierwsze wrażenia po zetknięciu z Kołem?

Nigdy wprawdzie nie należałam do harcerstwa, ale byłam w grupach ludzi, które miały wspólne idee i istota wszystkiego była bardzo

podobna. Jeden główny cel do którego wszyscy dążą i który wszystkich łączy. Wspólne posiłki czy dostosowanie się do reszty grupy nie było dla mnie czymś nowym, ale kurs pokazał mi to co znalazłam na nowej płaszczyźnie. Właściwie nie pamiętam jakie wrażenie wywarło na mnie pierwsze zetknięcie z Kołem, bo im dłużej się w nim jest tym postrzeganie się zmienia. Początkowo byłam kursantką, potem od razu zostałam szefową kursu co jest rewelacyjnym doświadczeniem, bo prowadzenie kursu (w szczególności gdy ma się taki fajny kurs jaki ja miałam), było miłym przedłużeniem, było to jak zbieranie samej śmietanki. W kole spotyka się wiele osób, które się lubi, a nawet bardzo lubi, często zostaje się potem mężem i żoną. Koło stało się częścią mojego życia i to wszystko będzie się pewnie zmieniało, zaangażowanie w różnych momentach albo jest bardziej albo mniej intensywne, ale nie wyobrażam sobie, żeby to miało być całkowicie zniknąć z mojego życia. Mam nadzieję, że z wieloma ludźmi z którymi wiąże mnie przyjaźń ta znajomość nie zniknie, bo są to silne relacje i dobrze jest być z osobami którzy podobnie patrzą na świat. Góry bardzo łączą ludzi, to tu sprawdzają się znajomości i przyjaźnie. Jak się jest egoistą to tak naprawdę bardzo szybko trzeba się z tego wyleczyć będąc w grupie, bo zupełnie coś innego jest jak się jedzie z dwójką znajomych, a coś innego jak się podróżuje się w grupie 30-osobowej i należy się dostosować. Wtedy egoizm jest mocno ukrócony. Góry kształtują charakter, nie wyobrażam sobie, żeby dla kogoś, dla kogo góry były częścią jego życia jednocześnie nie zwracał uwagi na ludzi, którzy są wokół niego. Nie można stwierdzić, że ktoś jest słaby, a ja mam jeszcze sporo siły, więc idę

dalej. Szybko rewidowane są takie zachowania, bo człowiek w tym miejscu musi być też dla innych i jest to duża szkoła.

Najciekawsze wspomnienie podróźnicze?

Na pewno doświadczeniem na które nie da się przygotować jest pierwsza wizyta w Indiach, bo mimo, że zawsze fascynowała mnie Azja i przed podróżą wiele na ten temat czytałam, to Indie są miejscem, którego nie da się opisać.

Pamiętam nasz pierwszy dzień i moment w którym przyjechaliśmy do Delhi, był on jednocześnie pełen zachwytu i przerażenia - gdzie ja jestem i chcę do domu. Ciężko właściwie jest opisać co było takiego innego, ponieważ tam właściwie wszystko było inne. Przede wszystkim ilość ludzi i zupełnie inne zachowanie. Przykładowo, oni się nie krepują z tego powodu, że patrzą na Ciebie bez przerwy, gdyż jest dla nich zupełnie normalne. Jak staliśmy przed Tadž Mahal i spotkaliśmy wycieczkę, nie patrzyli na siódmy cud świata, tylko na nas. My jesteśmy bardziej egzotyczni, w szczególności, że Michał jest na dodatek wysoki (był wyższy od wszystkich przeciętnych hindusów – przez co zupełnie nie mieścił się w autobusie – musiał stać z przekrzywioną głową). Ja natomiast bardzo się podbudowałam, bo może nie byłam jedną z wyższych, ale w średniej się mieściłam.

Kolejnym szokiem - ktoś stwierdził w Delhi, że domy, są za szerokie, dlatego postanowili je wyrównać. Więc na przykład stało wiele domów w których przednia ściana była kompletnie zwalona, przez co budynek zaczynał się w połowie pokoju. Były pozostałości drutów, okien, schodów. Gdy weszłam tam pierwszy raz pomyślałam, że jest to straszne. Podobnie reagują moi znajomi, którzy nigdy nie mieli z tym styczności, oglądając zdjęcia pytają - A co to jest? To w centrum stolicy.

Sprawy na które nie da się przygotować, to targowanie - choć ja bardzo szybko się w nim

odnalazłam. Na początku też trzeba było się do tego przyzwyczaić, nie można powiedzieć, że chce coś kupić tylko trzeba to jeszcze wytargować. Zaraz po wyjściu z samolotu wzięliśmy taksówkę by dojechać do centrum, kierowca odjechał 10 metrów mówiąc, że wie gdzie jedzie, po czym odjechał kolejne 10 metrów twierdząc, że jednak nie wie i musimy mu dopłacić. Więc po 5 minutach trzeba było od razu kłócić z kierowcą, że już zapłaciliśmy i więcej pieniędzy nie damy, że ma nas zawieźć tam gdzie chcemy. Nawiasem mówiąc Hindusi zupełnie nie znają się na mapie, więc dojechanie do celu i to w tym dzikim ruchu indyjskim, który w swym chaosie jest niesamowicie bezkolidyjny, bywa trudne.

Co ciekawe rozmawianie w pędzącym samochodzie z człowiekiem z innego samochodu jest mocno nie do pomyślenia w Polsce, tam nie stanowi problemu. O pierwszych doświadczeniach z Indii można by opowiadać długo, bo to jest zupełnie inny świat przepełniony chaosem. Chaosem, ale ja czasami czuję dobrze w chaosie, a oni jak widać się w nim odnajdują. Właściwie wszystko wygląda jakby nie miało szansy przetrwać, a jednak razem jakoś współistnieje.

W Indiach też po raz pierwszy stałam w korku pieszym, nagle stanęło wszystko...

Na chodnikach?

Tam się nie chodzi po chodnikach. Na chodnikach jest co prawda znacznie mniejsza liczba samochodów niż na ulicy ale to nie znaczy, że ich tam wcale nie ma. Przynajmniej nam tak się zdarzało, że jak już był chodnik po którym dało się chodzić, to był pozostawiany przez różnego typu stragany. Przykładowo Hindusi potrafią zarabiać na życie poprzez staniem z wagą, ktoś płaci parę rupii, aby się na niej zważyć, co śmieszniejsze stoją w kilka osób obok siebie z wagami. Dlatego też człowiek chodzi tam gdzie się da, omijając przy okazji góry śmieci.

A jak kontakt z ludnością miejscową?

Gdy byliśmy na trekkingu w Himalajach, wszystkie dzieci przybiegały do nas, prosząc o długopisy. Posiadanie zwykłego długopisu jest tam dla nich dużym marzeniem. W każdej wiosce jest niesamowicie wiele dzieci i zaraz na początku każdej wioski zaczynali nas gonić wołając o długopis, mimo iż mówiliśmy im, że nie mamy - czasami jeszcze długo za nami biegły. Ludność miejscowa faktycznie zwracała na nas uwagę, ale byli bardzo życzliwi, nie spotkałam się z agresją i czułam się całkiem bezpiecznie. Mówiąc o mentalności to spędziliśmy jedno popołudnie z menadżerem naszego hotelu i rozmawialiśmy o tym jak wygląda życie u nas w Europie i jak wygląda to w Indiach. W pewnym momencie rozmowa zeszała na temat wiary, jak sprawy religii wyglądają w Europie, a jak w Indiach (wiadomo, że tam różnorodność wyznaniowa jest dość spora). Opowiadaliśmy, że w Polsce większość osób to chrześcijanie, ale że jest też wielu ateistów. Pamiętam jego zdziwienie, zupełnie nie potrafił zrozumieć tego słowa. Zaczęliśmy mu tłumaczyć, o co dokładnie chodzi, ale on odpowiedział tylko, że jest to niemożliwe i przecież tak się nie da. Był bardzo zaskoczony, ponieważ dla nich życie jest ściśle

związane z religią, czy to jest buddyzm, hinduizm czy islam.

Duża prostota w tym wszystkim, w całym życiu. Wydaje mi się, że czasami ludzie w Europie potrzebują naprawdę wiele by być szczęśliwym, a w Indiach mimo wszystko to jest takie proste, gdy się ma coś zjeść, z kim porozmawiać to wielu ludziom to wystarcza aby być szczęśliwym. Mimo tej dużej skrajnej biedy, od takiego przeciętnego biednego człowieka nie widać było takiego smutku, oni właśnie byli weseli, oni jakoś inaczej to przeżywają, mniej im potrzeba do szczęścia.

Jakie są Twoje marzenia podróżnicze?

Mam wiele marzeń, właściwie co chwilę odkrywam nowe miejsca gdzie po prostu muszę pojechać. Każde zetknięcie z nową rzeczą powoduje, że mnie tam ciągnie. Teraz najbliższe plany to Norwegia i Rumunia. Bardzo bym chciała też pojechać do Irlandii - dla muzyki, a moim dziecięcym marzeniem jest Afryka. Gdy czytałam „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza, to koniecznie chciałam przejść tą samą trasę co Staś i Nel. Afryka jest takim kontynentem, który, przypuszczam, jest tak samo zaskakujący jak Azja. Chcemy w przyszłym roku wyjechać może na trochę dłużej do Azji czy do Chin, by potem jeszcze wrócić na chwilę do Indii. Chciałabym zobaczyć Syberię, ale absolutnie nie zimą, tylko wiosną, bo podobno wtedy tam jest pięknie, gdyż wszystko rozkwita. Kolejnym miejscem jest Kanada z rewelacyjnymi górami. Właściwie nie ma miejsca w które nie chciałabym pojechać. Gdybym mogła wziąć co najmniej roczny urlop pojechałabym poznać świat, ale niestety nie wszystko da się zrobić, dlatego trzeba ratować się krótkimi chwilami urlopów,

Co Ci dają podróże?

Jestem ciekawa kultury i miejsc, jak ludzie żyją w innych zakątkach świata. Zawsze mnie nosiło, kiedy byłam mała były to małe podróże, teraz chcę zobaczyć to co jest wokół mnie. Jednocześnie jeśli się więcej widzi, można też więcej dawać innym. Jak widzę moich rodziców, którym wiele radości przynoszą moje podróże, jest to dla mnie równie istotne. Gdy coś mnie ubogaca, to ja jednocześnie mogę tym samym ubogacić kogoś innego poprzez opowieści czy zdjęcia... i to właśnie jest strasznie fajne w zwiedzaniu całego świata!

Co myślisz o wskrzeszeniu „Polanki”?

Jest to rewelacyjny pomysł, bardzo cieszę się, że się znalazły osoby, które mają chęć i zapał (i muszę się pochwalić, bo jest to w dużej mierze mój kurs). Wizja wskrzeszonej „Polanki” będzie dobrym materiałem zarówno dla nas, ale przede wszystkim świetna forma reklamy, ponieważ jeśli będziemy rozprowadzać ją wśród innych to pokażemy, że jesteśmy instytucją, która ma ochotę oraz potrafi działać. Takie projekty są o tyle istotne, że jednoczą, gdyż wśród redaktorów są kursanci, byli kursanci, jak i przewodnicy – co przetrada się w naszej wspólnej inicjatywie. Liczę na to, że „Polanka” będzie trwała i uda się co kwartał ją wydawać. Myślę, że przyniesie nam ona wiele radości, a także będzie miejscem na poważniejsze tematy.

Ola Zmety

Przez żołądek na szczyt

Teren uprawnień jak długi i szeroki (a teraz jeszcze dłuższy) można rozpatrywać w różnych kategoriach. Co powiecie na kategorię kulinarną? To nie żadna prywata, ale z pewnością rodzaj promocji. Promocji miejsc, do których warto zawitać i spróbować zaspokoić głód i rozsmakować podniebienie. Nie mówiąc już o tym, że każdy rasowy turysta powinien wiedzieć gdzie na obszarze uprawnień można wnieść się na szczyty kulinarne.

Pomijając kwestię regionalizmów i potraw tradycyjnych dla danych terenów są miejsca, które z różnych przyczyn serwują kulinarne perełki. Na początek coś zwykłego, ale jakże smacznego gdy wraca się z wypadu w góry. Z tego powodu zawsze jestem chętna na jazdę z przesiadką, bo 10 minut wystarczy, by pobiec do budki przy dworcu w Bielsku Białej i porwać od pani Zosi bułkę z pieczarkami. Bułka i pieczarki...ot i cała filozofia. Gdy jednak zajrzemy w karty historii okazuje się, że ten przysmak to nic innego jak fast food z okresu PRL. W tamtych czasach bułka z pieczarkami konkurowała jedynie z zapiekanką.

Przy dworcowej budce zwanej „grzybkiem” od dwudziestu lat można spotkać panią Zofię, która pieczołowicie doprawia pieczarki, które wcześniej przygotowywane są w profesjonalnej stołówce. Chrupkość bułek to rezultat opiekania ich w podgrzewaczu. Na życzenie można jeszcze otrzymać parówkę, sosy i prażoną cebulkę. Szperając w Internecie okazuje się, że takie bułki można kupić jeszcze w innych miastach przy Warszawskiej Starówce, Krakowie, Gorzowie, Toruniu i Poznaniu, ale jest grono zjadaczy bułek, którzy twierdzą, że te w Bielsku są wyjątkowe. Spotkałam się również z opinią, że bułka z pieczarkami mogłaby претендовать do tytułu warszawskiej potrawy, ale nie wiem czy cała stolica byłaby z tego faktu zadowolona. W sieci można znaleźć również przepisy na samodzielne wykonanie bułki z pieczarkami, ale zdaniem tych, którzy próbowali brak w nich jakiegoś szczególnego składnika, który zapewne jest w składzie receptury pani Zosi z bielskiego grzybka. Tajna receptura to składnik sukcesu!

Największy ruch przy dworcowym grzybku panuje w godzinach popołudniowych kiedy dzieci kończą zajęcia, a dorośli wracają z pracy. Zawsze jednak w ciągu dnia znajdzie się jakiś wagarowicz i zabłąkany turysta, który błaga o bułkę z pieczarkami, bo ma 4 minuty do pociągu. Nie jednego od głodu zapewne uratowały i nadały sentyment bielskiemu dworcowi, odwracając uwagę od zabytkowych fresków. Warto w pamięci mieć to miejsce, cofnąć się do innej epoki, a potem mimo wszystko z głową skierowaną do góry przespacerować się dworcowym holem.

Ola

Markowe Szczawiny a...Czarnobyl?

W świetle marcowych wydarzeń w Japonii oraz planów budowy elektrowni jądrowych w kraju nad Wisłą, głośniejsze zrobiło się o wpływie technik nuklearnych i narażeniu ludzi na promieniowanie. Zaraz, zaraz – gdzie górskie szlaki, a gdzie promieniowanie? Otóż ono jest wszędzie wkoło nas, tylko jego popularność mówiąc delikatnie jest znikoma - chyba że trzeba postraszyć opinię publiczną lub grupę turystów na szlaku. Nie dajmy sobą manipulować i wgłębnijmy się troszkę w jego naturę. Będzie bezboleśnie, jak przy rentgenie...

...czy innych badaniach medycznych, w których wykorzystuje się promieniowanie i zjawisko promieniotwórczości, a od których statystyczny Polak dostaje ¼ całkowitej rocznej dawki promieniowania (czyli tego wszystkiego co w nas promieniuje w ciągu roku). Cała reszta pochodzi od źródeł naturalnych, takich jak radioaktywny potas, który serwujemy sobie wraz z każdą szklanką mleka, radon naturalnie uwalniany się z gleby i gromadzący w naszych piwnicach, czy.. wycieczka w góry. Skąd przyrównanie Czarnobyla do naszych wypadów w góry niekoniecznie najwyższe? Ludność zamieszkująca na wysokości 2000 metrów otrzymuje od promieniowania kosmicznego dawkę 2,6 razy większą niż Ci, którzy preferują szum fal i poziom morza (patrz wykres). Także przed następną wycieczką w góry, porządnie przemyślcie czy chcecie narażać się na podwyższone ryzyko np. zachorowalności na raka. Bo nie ma różnicy między promieniowaniem z elektrowni jądrowej, a tym, którym bogato obdarza nas natura. Jak to się dzieje, że ludzie namiętnie chodzą po górach, prowadzą schroniska a ich stan zdrowia raczej na tym nie cierpi?

Promieniotwórczość to skłonność jąder do samorzutnych rozpadów. Tak mają że się rozpadają, emitując przy tym (uogólniając) 3 rodzaje cząstek: jądro helu (cząstka α), elektron (cząstka β) lub promieniowanie gamma (czyli nic innego jak światło czy fala radiowa, tylko o większej energii). Wyżej wymienione spotykając na swojej drodze człowieka, mogą powodować przeróżne efekty, m.in. zmiany w kodzie genetycznym. W każdym z nas w ciągu sekundy zachodzi kilka tysięcy takich rozpadów. Na szczęście natura i wieki ewolucji wyposażyły nas w naturalne sposoby walki ze zmianami w naszych genach, co pozwala na życie w obszarach o podwyższonej naturalnej promieniotwórczości. Zresztą poziom promieniowania naturalnego w dawnych epokach był o wiele większy niż aktualnie. Piasek monacytowy na brazylijskich plażach, zawierający naturalne pierwiastki promieniotwórcze po-

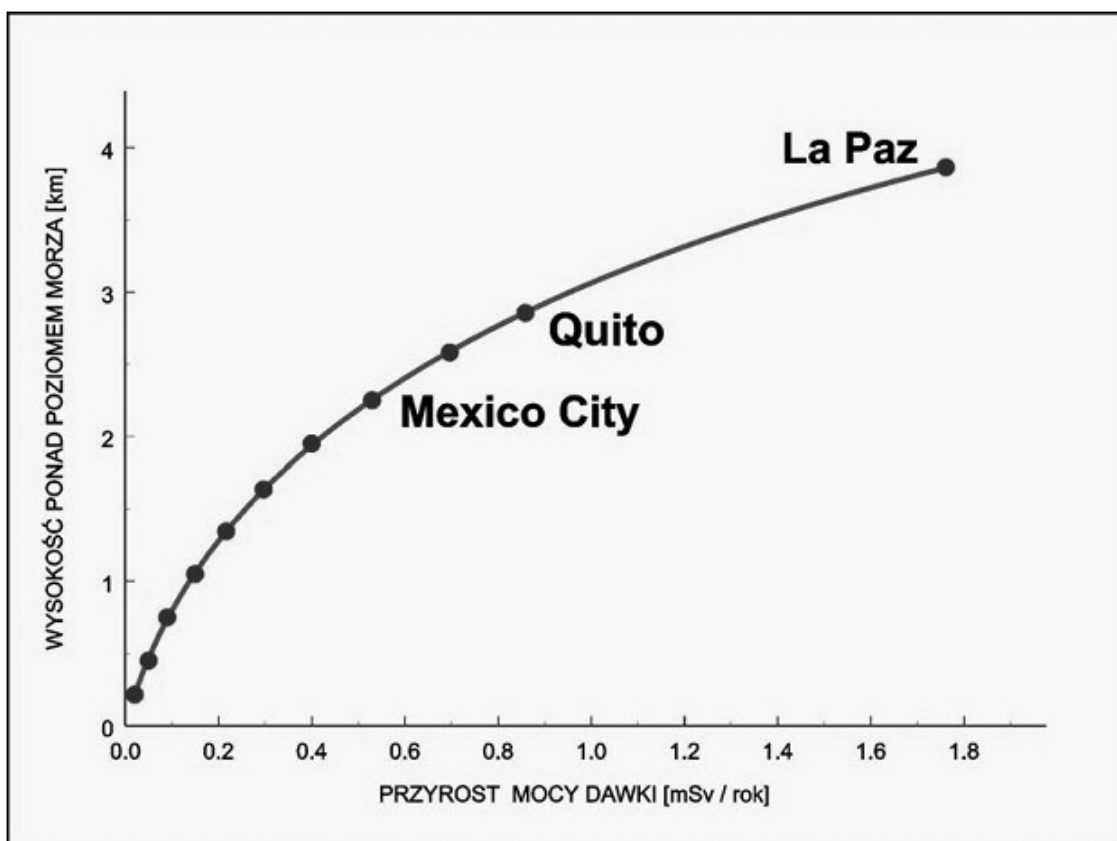
	Średnie dawki dla mieszkańca Polski w mSv/osobę	
	1986	2007
Ogółem	3,68	3,35
Pochodzenia naturalnego	2,74	2,48
Pochodzenia sztucznego	0,32	0,01
-skażenie po awarii czarnobylskiej	0,056	0,000
Diagnostyka medyczna	0,59	0,85
Narażenie zawodowe	0,023	0,002

woduje, że miejscowi oraz turyści narażeni są na dawki 100 krotnie większe niż średnia światowa. Bogate w rad źródła wody bijące w miejscowości Ramsar w Iranie, pozwalają na inhalowanie się powietrzem, w którym dawki są 1000 razy ponad przeciętną. Nie wykryto na tych obszarach zwiększonej śmiertelności czy negatywnych skutków zdrowotnych, a bardziej prowadzi się badania nad hormezą radiacyjną, czyli korzystnym wpływem małych dawek promieniowania na organizmy żywe. Promieniowanie jest na tyle naturalne, że pszenica, która znajduje się w ekranowanym inkubatorze, nie tyle nie przyrasta co więdnie.

W załączonej tabeli przedstawione są dane z rocznika statystycznego 2008 Głównego Urzędu

Statystycznego, tom Ochrona Środowiska. Co oznacza skrót mSv? Sv to siwert, jednostka dawki używana w dozymetrii, określająca ilość energii jaką traci promieniowanie podczas przechodzenia przez ośrodek (czyli nas), uwzględniająca rodzaj promieniowania oraz to jaki narząd lub tkanka jest poddana promieniowaniu. 'm' to mili - 10⁻³. Nawiązując do tytułu - spędzając rok w schronisku na Markowych Szczawinach, dostałoby się nam skromne parę razy więcej niż przeciętnemu Polakowi w roku największej katastrofy jądrowej, kiedy to czarnobylski reaktor nie wytrzymał testów operatora.

Adam Matyszok



Kąpiel z Babelkami

*Tekst ten dedykuję ciekawym,
jak woda działa na nasze ciała.*

Szkolna wycieczka do Krynicy i wizyta w Pielni Głównej pozostawiły w mojej pamięci zabawny obrazek. Ludzie trzymający kubeczki z dzióbkiem z pewnym obrzydzeniem popijali małymi łykami coś. Niedługo potem moja mina zapewne była podobna, gdyż cała klasa mogła spróbować wód mineralnych. Spotkanie z wodą Zuber pozostawia niezapomniane wrażenia, wielu się o tym przekonało na własnej skórze. Po latach wróciłam do Krynicy z zupełnie innym podejściem do tematu wód mineralnych i leczniczych.

Czym wyróżniają się wody mineralne spośród zwykłych wód podziemnych?

Głównie ilością rozpuszczonych w wodzie składników. W wodach mineralnych musi ich być co najmniej 1000 mg/litr. Na oko oczywiście tego nie stwierdzimy, ale im więcej jest rozpuszczonych składników tym bardziej mogą nadawać posmak pitej wodzie (woda niskozmineralizowana, słodka 1-2 g/l; średniozmineralizowana, słonawa 3-10 g/l; słona 10 – 35 g/l). Przy zawartości powyżej 35 g/l (35 000 mg/l) mamy do czynienia z solanką.

Kolejnym rodzajem wód podziemnych są wody lecznicze. Czym różnią się od wód mineralnych? Wody mineralne mogą jednocześnie mieć właściwości lecznicze, ale również wody o mineralizacji mniejszej niż 1000 mg/l, przy odpowiedniej zawartości tzw. składnika swoistego decydującego o typie wody (na przykład zawartość jonu żelazawego - nie mniej niż 10 mg/l - wody żelaziste) będą wodami leczniczymi. Muszą jednak spełniać kilka wymogów: stałość cech fizycznych i chemicznych (w granicach dopuszczalnych wahań), nie mogą budzić zastrzeżeń pod względem sanitarnym i muszą być określone jako lecznicze przez Radę Ministrów w drodze rozporządzenia. Wody tego typu traktuje się jako kopalinę, w świetle prawa na równi z ropą naftową.

Podsumowując woda mineralna może, ale nie musi być wodą leczniczą, a woda lecznicza nie musi być wodą mineralną.

Kolejnym czynnikiem pożądanym w wodach jest ich podwyższona temperatura. Im woda głębiej jest zgromadzona tym wyższą ma temperaturę, a na obszarze Polski zwiększa się średnio o 1°C co 33m. Średnia roczna temperatura wód gruntowych wynosi 8-9 °C, czyli na głębokości 100 m możemy się spodziewać wody o temperaturze 11-12°C. Lokalnie istnieją dodatkowe źródła ciepła, które powodują podwyższenie temperatury wód podziemnych powyżej 20°C i wówczas mamy do czynienia z wodami termalnymi.

Karpaty zachodnie należą do prowincji karpackiej występowania wód zmineralizowanych, termalnych i uznanych za lecznicze. Występujące w dorzeczu Popradu (Muszyna, Piwniczna, Prowoźnik) i Dunajca (Szczawa, Szczawnica, Krościenko n. Dunajcem) wody, w których zawartość dwutlenku węgla niezwiązanego - wynosi od 1000 mg/l to tzw. szczawy, a przy zawar-

tości od 250 do 999 mg/l mówimy o wodach kwasowęglowych.

Działanie szczaw i wód kwasowęglowych polega na wydzielaniu podczas kąpeli na skórze CO₂ w postaci pęcherzyków gazu i wywoływaniu w niej zmian, spośród których najważniejszą jest rozszerzenie naczyń włosowatych, tętniczych i żylnych. Obniża się ciśnienie krwi, zarówno normalne, jak i podwyższone chorobowo, oraz zwalnia akcja serca. Wskazaniem do stosowania kąpeli kwasowęglowych jest niewydolność krążenia nieznacznego stopnia, stany po przebytych zapaleniu mięśnia sercowego różnego pochodzenia, zwyrodnienie mięśnia sercowego, otyłość.

Kąpiel w ciepłych wodach solankowych, powoduje przenikanie do organizmu chlorku sodu i jego częściowe odkładanie w warstwie rogowej naskórka oraz częściowe przenikanie do krwi. Lecznicze zastosowanie dotyczy reumatoidalnego zapalenia stawów, choroby zwyrodnieniowej stawów oraz stanów pourazowych kości i stawów. Zmęczonemu wędrowcowi poprawi krążenie i ukrwienie skóry, a także wyreguluje ciśnienie krwi i zaostri apetyt. Regularne kąpiele solankowe powodują utworzenie na skórze „płaszczki solnego”, który odpowiedzialny jest za działanie osmotyczne i chemiczne wody mineralnej. Działanie soli powoduje rozszerzenie naczyń włosowatych i poprawę ukrwienia skóry.

Wody siarczkowe ze znanych turystom „śmierdzących” źródełek (Złata Huta, Sobólówka) działają drażniąco na skórę, wywołują chwilowe przekrwienie zarówno skóry, jak i narządów wewnętrznych, pobudzają przemianę materii, oczyszczają organizm z toksyn i wpływają odczulająco na skórę. Przy dłuższym stosowaniu mogą pomóc w przewlekłym zapaleniu stawów, toksycznym zapaleniu nerwów, stanach po zatruciach metalami ciężkimi, nerwobólach, chorobach narządu rodnego, łuszczycy i pokrzywce.

W Wysowej, Wapiennem, Rabce i Soli występują ponadto wody chlorkowe, czyli solanki (zawartość rozpuszczonych składników mineralnych stałych, co najmniej 35 g/l).

Wykorzystanie wód geotermalnych do celów rekreacyjnych, rekreacyjno-leczniczych i leczniczych uzależnione jest od temperatury oraz mineralizacji wody. Do kąpeli rekreacyjnych stosuje się wody o temperaturze od 24 do 30 °C i mineralizacji do 35 mg/l, rekreacyjno-leczniczych odpowiednio 28 – 32 °C i do 40 mg/l, a do kąpeli leczniczych 28 - 42 °C i mineralizacji do 60 mg/l.

W opracowaniu wykonanym w 2008 dotyczącym wykorzystania wód podziemnych w szczególności termalnych i leczniczych na obszarze województwa śląskiego oszacowano możliwość eksploatacji wód termalnych w gminach: Brenna, Jelesnia, Rajcza, Ustroń i Jaworze. Tereny wymienionych gmin stanowią tzw. obszary perspektywiczne, na ich obszarze występują wody termalne, ale w celu ich wydobycia wymagane jest wykonanie głębokich wierceń.

Bardziej cenne, bo nie wymagające kosztownych inwestycji, są samowypływy, czyli źródła

wód mineralnych, leczniczych i termalnych.

Solanki z Soli stanowią — ze względu na wysoką mineralizację — jeden z najciekawszych obiektów występowania wód chlorkowych polskich Karpat fliszowych. Pierwsze wzmianki o Soli pochodzą z XVII w., a nazwa miejscowości, jak i potoku, jest niewątpliwie związana z występującymi tu źródłami wód słonych. Na obszarze Soli wody chlorkowe są wyprowadzane na powierzchnię źródłami: „Warzelniane” i „Słanica”. Są to najbardziej zmineralizowane wody źródlane w Karpatach, jedyne z solanką, tzn. o mineralizacji od 35 g/l. W latach 1947 - 1953 na terenie Soli wykonano 5 otworów poszukiwawczych za ropą naftową i gazem ziemnym w utworach płaszczowiny magurskiej. We wszystkich otworach stwierdzono obecność leczniczych solanek, a w dwóch z nich zmierzona temperatura wskazywała, że są to jednocześnie wody termalne. Wykorzystanie wód utrudniały erupcje gazu.

Szczególne znaczenie w polskiej balneoterapii mają wody typu Zuber, unikatowe na skalę światową. Są to wody o wysokiej mineralizacji i złożonym składzie chemicznym, należące do szczaw wodorowęglanowo-sodowych o mineralizacji 21-29 g/l ze składnikami swoistymi: jonomi jodkowymi i żelazawymi. Składnikiem nadającym charakterystyczny zapach wodzie jest siarkowodor. Odkryte zostały przy okazji poszukiwań ropy naftowej w okolicy Krynicy Zdroju na początku XX w. Wody tego typu wykorzystywane są w leczeniu choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy, nadkwasoty, chorób wątroby i dróg żółciowych. Zalecane jest stosowanie tej wody w chorobie cukrzycowej, gdyż skutecznie obniża poziom cukru. Przynosi ulgę w objawach nadużycia alkoholu. Zubery znajdują się również poza Krynica Zdrój, w Złockiem, w Czarnej Górze.t

O korzystnym wpływie wód mineralnych i leczniczych na nasze zdrowie wszyscy są przekonani. Jak każde lekarstwo należy stosować je z rozsądkiem. Wędrując po polskich Karpatach warto spojrzeć na ich bogactwo przejawiające się nie tylko w pięknie samych gór, różnorodności przyrodniczej, ale także w postaci zbiorowiska wód o bardzo zróżnicowanych właściwościach.

Joanna Karlikowska

Nie ma że boli, napieramy!

Jak zatrzymać biegunkę zanim ona zatrzyma nas.

W sytuacji zupełnie awaryjnej, gdy do najbliższej apteki daleko, a nasz żołądek zwariował możemy sobie pomóc tym, co mamy pod ręką.

W czasie, gdy mamy pod dostatkiem jagód można zjeść ich kilka garści. Działają przeciwbiegunkowo również w postaci suszonej, w dżemie i w nalewce.

Dobrze robi nam zjedzenie zawartości szetki herbaty (najlepiej zwykłej) lub kilku kostek gorzkiej czekolady.

Zagadki

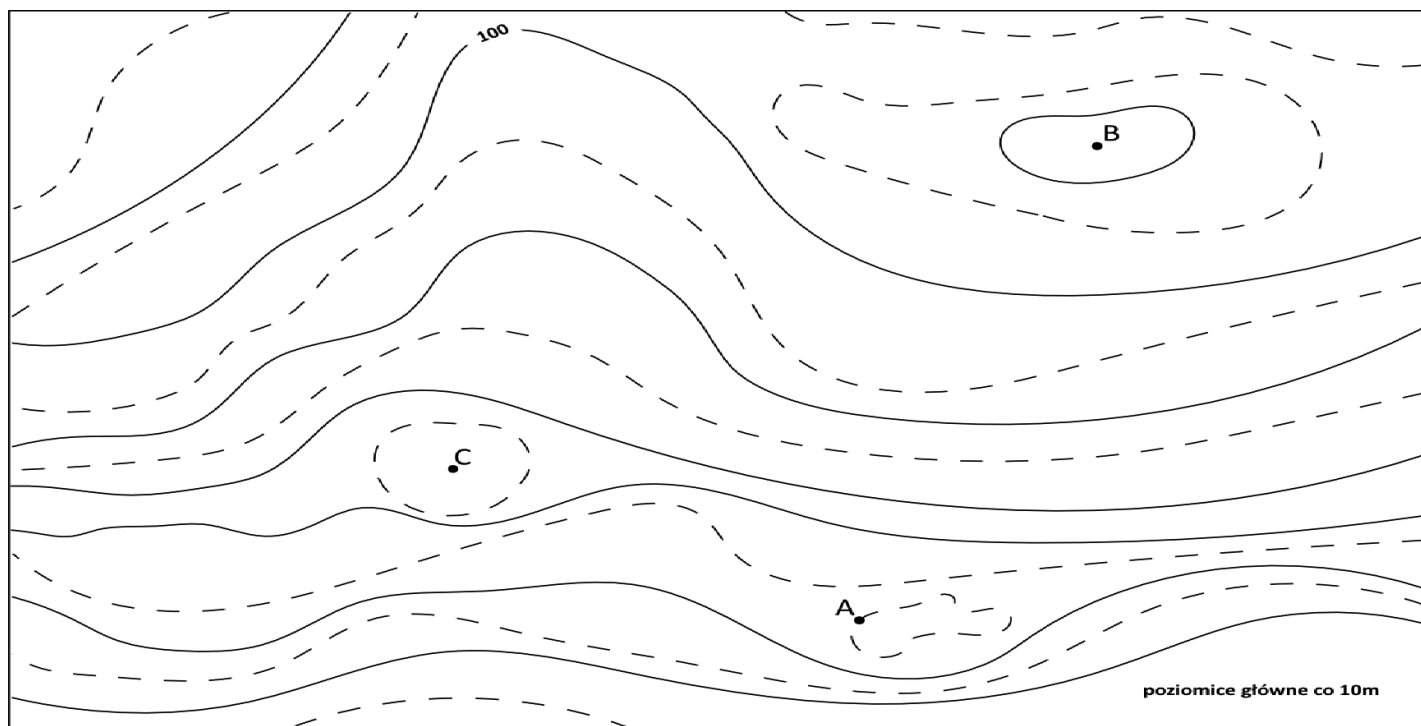
Aby urozmaicić lekturę naszej Polanki, przygotowaliśmy parę zagadek dla rozluźnienia i rozszerzenia horyzontów. Zapraszamy do zabawy. Na pierwszą osobą, która prześle poprawne odpowiedzi na wszystkie pytania na adres skpb.katowice@gmail.com (decyduje data stempla pocztowego!), czeka nagroda niespodzianka.



1. Nie tylko w schroniskach w górach można nocować. Bazy namiotowe oferują przystępne warunki za mniejsze pieniądze, a przy tym zastaniesz na nich wspaniałą atmosferę i osoby podobne tobie, które jak ty lubią wędrować po górach. Jaką nazwę nosi baza namiotowa widoczna na zdjęciu?



2. Z tego szczytu zobaczysz wiele grup górskich, nie tylko Polski. Musi być więc duży. Co to za miejsce?



3. Czytanie mapy to podstawowa umiejętność w górach. Sprawdź czy potrafisz. Na jakiej wysokości znajduje się punkt A i czy punkt B jest wyżej, niżej, czy na tej samej wysokości co punkt C?



4. Powyższe zdjęcie zostało wykonane w górach naszego sąsiada - Słowacji. Góruje nad okolicą, ot góry mają to w swoim zwyczaju, i podczas zachodu słońca w lecie okrywa swym cieniem pobliskie miasto. Z jakiego szczytu zostało zrobione to zdjęcie i jaką nazwę nosi jezioro widoczne w prawej części zdjęcia?